Nr. 17 (1217). Warszawa, 10 (23) Kwietnia 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
„ Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W EUROPIE.

Naród rosyjski może być zadowolonym z Europy. Nieszczęście, które go dotknęło na Dalekim Wschodzie 13 b. m., wywołało tak liczne, z takim patosem wyrażane objawy współczucia i krzepiącej nadziei, że nie przypominamy sobie, aby w ciągu ubiegłego do dni dzisiejszych półwiecza kiedykolwiek sympatya dla obcego mocarstwa i obcego narodu wystąpiła w takiej nieudanej sile i jaskrawej nawet wyrazistości. Dzienniki angielskie, posądzane stale o zasadniczą nieprzyjaźń, najpierwsze pospieszyły ze słowami kojącemi żałość i wielbiącemi człowieka, na którym ludzie pokładali nadzieje wielkie, a przy którym śmierć postawiła nagle większy jeszcze znak zapytania, postawiła zaś na to, aby życie nigdy już odpowiedzi dać nie mogło. *Fremdenblatt* austryacki wzywa Rosyę do wiary w swe siły i sam wierzy w dzielne ich zużytkowanie. Rady departamentowe we Francyi jedna przez drugą pouchwalały współubolewanie. Panujący nie namyślali się długo z wyrażeniem żalu. Nawet Japończycy niedwuznacznie, może nawet rzetelniej niż Europejczycy, bo bez pobudek grzeczności, które dawały główną sprężynę objawom europejskim — odczuli nieszczęście swych nieprzyjaciół, dali mu niczem nieprzymuszony wyraz, a nawet w Kobe urządzili manifestacyę żałobną. Żaden naród europejski, uwikłany w wojnę z drugim, pewnoby takiem współczuciem dla niego nie drgnął.

Wydarzył się i w Europie w tygodniu sprawozdawczym wypadek, nie możemy już powiedzieć niezwykły — ale wstrząsający. Cios, zgotowany w Barcelonie zrazu samemu królowi, skutkiem nieśmiałości ręki, która go wymierzyć miała, zaniechany, poszedł w kierunku innym: ugodził w pierwszego ministra, Maurę. Dnia 12-go b. m. niejaki Artal, rewolucyonista, jak świadczą fakta donoszone przez telegraf, rzucił się z nożem w ręku na pierwszego doradcę królewskiego i ranił go między żebra z taką pewnością oka, że gdyby nie suty haft, minister leżałby już teraz w grobie; dzięki zaś tej przeszkodzie ocalał i miał już nawet w stolicy katalońskiej mowę. Ocalenie to wszakże nie ocala Hiszpanii, która jako państwo znajduje się w coraz większym upadku, w coraz większej bezsilności — i z dziwną, jakby fatalistyczną mocą leci w niemoc. Gdyby jej nie broniła silna indywidualność narodu i położenie geograficzne, nader szczęśliwe, gdyby przytem we Francyi nie rzeczpospolita, ale monarchia streszczała w sobie organizacyę państwową — myśl o protektoracie nie byłaby tak niedorzeczną, jak za Napoleona było osadzanie własnej dynastyi i rozpoczęte już wprowadzanie porządków francuskich. W każdym razie Marokko wystawi już teraz na próbę powściągliwość Francyi i prawowitą dumę Hiszpanii. Ciężar potęgi francuskiej już i teraz przytłoczy pierś hiszpańską.

Dnia 11 b. m. zebrały się sejmy berlińskie na poświątki. Panowie już przedtem uchwalili byli, z wilczym apetytem na Polaków a pogardą dla konstytucyi, ową ustawę, w której p. Bülow widzi jedyne ocalenie Prus od niebezpieczeństwa polskiego — zakaz parcelowania ziemi polskiej między lud polski, przez instytucye polskie. Znikczemnienie, do jakiego doprowadził hakatyzm stronnictwa prawoskrzydłowe i środkowe, nakazuje przewidywać przejście rozbójniczego projektu i przez Izbę niższą. Mąż twardego rzemiosła miał w d. 15 b. m. mowę o ogólnej polityce, o przymierzach, o porozumieniu się anglo-francuskiem i austryacko-włoskiem w stosunku do Niemiec. Mówił stylem boksera z zakasanymi rękawami, gotów w każdej chwili do bójki. Najlepszym sprzymierzeńcem jest ostrze miecza; bez wszelkich innych ostatecznie się Niemcy obędą, gdyby dzisiejsze rachuby i układy ich kiedyś zawieść miały: Bismarkowska to już odwaga brutalności wobec rzeczywistych dobrej wiary sprzymierzeńców. Posłowie polscy znowu wytoczyli skargi na liczne nadużycia, ale ministrów nie zdołali zmusić nawet do wykłamywania się. Zapowiadane spotkanie się cesarza Fr. Józefa z ces. Wilhelmem odwleka się coraz dalej, a termin opuszczenia morza Śródziemnego przez „Hohenzollerna“ i „Albrechta“ coraz się bardziej przybliża. Stosunki między obu państwami zakłóca z jednej strony chciwość na ziemie niemieckie Austryi, z drugiej podejrzliwość, ukazująca prawdopodobieństwo porozumienia się Prus z Rosyą podczas wojny — dla działania zaraz po wojnie.

W wewnętrznem życiu Austryi najważniejsza sprawa bieżąca, pogodzenie Czechów z Niemcami, ocknęła się z uśpienia świątecznego wraz z Radą państwa, d. 19 b. m. Już na parę dni przedtem p. Jaworski, prezes Koła polskiego, które spóźniło się — o pięć lat ze swem pośrednictwem, wyostrzył miecze swego krasomówstwa i logistyki. Mieczami natarł zaraz na Czechów. Dowiedział się tylko tego, o czem już wiedzieć był powinien, że Czesi przed wszelką zgodą chcą przedewszystkiem języka urzędowego czeskiego i uniwersytetu

na Morawach. Ponieważ Niemcy żądanie języka, mające być dopiero przedmiotem układów pojednawczych, a stawiane już zgóry jako nieodzowne, uważają słusznie za dowód niechęci do zgody — zaś pp. Jaworskiemu i Abrahamowiczowi nie udało się ani Czechów odwieść, ani Niemców nawrócić — zdaje się więc, że wszystkie zaloty przyjaźni zmarnieją i tym razem, jednając tylko gniew, może i nienawiść, stron obu. Na Węgrzech w sejmie jeszcze spokojnie. P. Tisza mówił o zjeździe w Abbazyi: miał on cele poważne, ale niekoniecznie zaraz miał wydać z siebie nowe zobowiązania i umowy.

Misya angielska— zbrojna zarazem i dyplomatyczna — dotarła do Gian-tse, gdzie siać miała główna siła tybetańska. Stanęło trochę mizeractwa, które wyparło się nawet zamiaru wojowania z Anglikami. Brodrick wyjednał na parlamencie kredyt na wyprawę, ręcząc, że Anglia nie ma zamiaru zajmować choćby piędzi ziemi tybetańskiej. Sam kredyt zadaje fałsz słowom.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W nocy z d. 12 na 13 b. m. Japończycy wykonali ósmy z rzędu napad na Port Arthura. Jak zwykle, rozpoczęły go i prowadziły głównie torpedowce i przeciwtorpedowce; krążowniki i pancerniki osłaniały tylko ich działania. Flota rosyjska wypłynęła daleko po za terytoryum portowe, a poznawszy liczebną przewagę nieprzyjaciela, dokonywała już odwrotu, kiedy niespodziewanie okręt admiralski „Petropawłowsk“ natknął się na minę i w ciągu dwóch do trzech minut zatonął, wraz z samym wiceadmirałem Makarowem i jego szefem sztabu, Mołasem. Znajdujący się na tym samym okręcie Wielki Książę Cyryl Włodzimierzowicz ocalał. Ofiarą śmierci padł sławny malarz Wereszczagin. Według telegramu Agencyi Tel. Ros. z d. 16 b. m., zginęło ogółem 19 oficerów i inżynierów w stopniu oficerskim i 2 lekarzy. Ocalał 1 kapitan, ciężko jednak raniony w głowę i w piersi, dwu poruczników, trzech miczmanów w stopniu oficerskim i 38 szeregowców. Inna wiadomość podnosi liczbę wszystkich ocalałych do 50—52. Etat załogi dochodził do 700 osób, zginęłoby zatem 650. W walce nadto jeszcze otrzymał cios od torpedy na waterlinii pancernik „Pobieda,“ o własnej sile wszakże wpłynął do portu wewnętrznego; torpedowiec „Strasznyj“ zatonął wraz z dowódcą, kapitanem, porucznikiem, miczmanem, mechanikiem i niepodaną liczbą marynarzy szeregowych.

D. 15 b. m. Japończycy ponownie zjawili się pod warownią morską. Czternaście okrętów ostrzeliwało samą twierdzę i miasto znowu z pod Laoteszanu. Wyrzucono 186 pocisków. Eskadra rosyjska odpowiadała ogniem przerzutowym, prowadziły ogień i bateryе. Według urzędowego telegramu namiestnika Aleksiejewa, strat na okrętach ani uszkodzeń nie było; na brzegu zaś raniono tylko 5 żołnierzy. Niepewne doniesienie wskazuje wyspy Elliota jako miejsce zebrania się 30,000 wojska japońskiego, które ma próbować wylądowania na półwyspie Liao-tuńskim na wysokości Portu Adamsa, w miejscu największego zwężenia się tej postaci geograficznej. Niedokładnie wskazana miejscowość była już widownią takiej próby, spełzłej bez skutku: korpus z dwunastu tysięcy, który wysiadł był już na ląd, musiał się pod ogniem rosyjskim cofnąć na okręty. Próby wyraźnie stwierdzonej wylądowania pomiędzy Jalu a Liaotongiem nie było. Japończycy kończą gromadzenie i porządkowanie sił nad Jalu, na lewym, korejskim brzegu. W jedenaście dni po rozpoznawczych działaniach pod murami Czen-czyu, d. 8 b. m. wycieczka 37 ochotników rosyjskich pod porucznikiem Demidowiczem dotarła na wyspę Samalindę wtedy właśnie, kiedy 50 o niczem niewiedzących Japończyków przybijało do niej. Telegram gen. Kasztalińskiego tak mówi o rozprawie z nieprzyjacielem: „Pozwoliwszy im wylądować, ochotnicy rzucili się z okrzykiem „hura!“ Prawie wszyscy Japończycy zostali wykłuci, wystrzelani lub potopieni, a łódki ich pogruchotane. My nie mamy strat żadnych. Szczególniej odznaczyli się oficerowie Łuczkin i Bułaszedow.“ Nazajutrz była drobna, również pomyślna rozprawa straży przedniej. Dnia 12 b. m. według urzędowej depeszy gen. Kasztalińskiego, porucznik Demidowicz, oficer Łuczkin oraz dwaj strzelcy zginęli na forpocztach: zajęcie przeto pozycyi nie było trwałe i wogóle rzekę Jalu trzeba uważać za granicę między obu wojskami.

W Porcie Arthura tymczasem dowództwo nad flotą objął kontradmirał Uchtomskij do czasu przybycia wiceadmirała Skrydłowa, który dotychczas dowodził w Sewastopolu, a teraz został następcą wiceadmirała Makarowa. D. 16 przybył na miejsce admirał Aleksiejew i wywiesił flagę na „Sewastopolu.“

Pet. Wied. doniosły niedawno o nowej stracie, której jeszcze przed wypadkami z dnia 13 b. m. doznała flota rosyjska na Dalekim Wschodzie. Krążownik „Bojaryn,“ podobnie jak „Jenisej“ w samym początku wojny, natknął się w zatoce Dalnego, przy wschodniem pomorzu półwyspu Kuantuńskiego, na minę i po wybuchu zatonął. Co do miny, która zniszczyła „Petropawłowsk,“ niema pewności, czy była ona portową, czy też podrzuconą dawniej, japońską. Wątpliwość rozstrzygnąćby mogła dokładnie prowadzona mapa portowa.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

IV. Kilka słów o wierzeniach korejskich.

W drugiej połowie IV wieku po N. Chr. dwóch mnichów buddyjskich, Szuń-dao i A-dao, przybyło z Chin do państwa Ko-gu-rio w północnej Korei i przyniosło z sobą księgi święte. Buddyzm zdobył sobie odrazu wielkie uznanie wśród sfer wyższych. Przyniósł z sobą piśmiennictwo, wiedzę, sztukę i rozmaite nieznane rzemiosła. Pod opieką królów korejskich zaczęły powstawać liczne klasztory, szkoły, zakwitły sztuki wyzwolone. W połowie V stulecia buddyzm przedostał się już do południowego państwa Silla i nawet na wyspę Quelpart, gdzie go obecnie niema, a jedynie jako ślady pozostały nieliczne posągi Buddy. Zapał był powszechny i z obawy, aby cała ludność nie została mnichami, musiano wydać odpowiednie przepisy krępujące. W X wieku buddyzm dosięgnął swego szczytu i został uznany za

---

Kalmán Mikszáth

PÓŁ SYNA.

Urocza małżonka Laurentego Gathy, możnego właściciela dóbr, umarła w połogu.

Opłakano ją i pochowano, a mała jej latorośl, cudne i zdrowe bobo, wesoło uśmiechało się do życia.

Po pogrzebie podstarzała krewna wzięła dziecię w objęcia i oblewając je łzami, biadała:

— Co będzie z tobą, sieroto? Pozbawione starań matki, zginiesz niechybnie!

Widocznie ciotka miała ochotę prowadzić gospodarstwo siostrzeńca, w dzisiejszych bowiem czasasach nikt bez powodu nie wdaje się w rozmowy, nawet z trzydniowem maleństwem.

— Co się z niem stanie? — powtórzył ojciec. Nie lękaj się, wychowam go uczciwie — i przyciskając syna do piersi, dodał: — Stracił matkę, ale ją odzyska, nie zostawię go bez niej!

— Ależ kochany Laurenty, ty mu jedynie możesz dać macochę!

— Zaręczam, że oddam mu matkę!

— Dzieciństwo, ta, która poszła, nie wróci już więcej, choćbyś nawet wyjął ją z grobu, a inna, najlepsza nawet, będzie tylko dla niego matką przybraną, a wiesz, co to znaczy?

Po kilku dniach Gathy wraz z dzieckiem pojechał do Pesztu i wkrótce sam do do domu powrócił. Nikt nie śmiał się go zapytać, co z chłopcem uczynił, małomowny bowiem i zimny, zwykł był natrętów zbywać milczeniem. Ruszano więc tylko ramionami, mówiąc:

— Zostawił widać dziecię na opiece mamki.

W trzy tygodnie po śmierci żony Laurenty powtórnie wstąpił w związki małżeńskie. Tym razem wybraną jego była Barbara Zacharayi, piękna wdówka z okolicy.

Sąsiedzi znowu ruszali ramionami.

— To zły człowiek ten Gathy, gdyby się przynajmniej nie był dziecka pozbył!

Upłynęło kilka miesięcy, a Gathy po raz drugi został ojcem syna. Co dziwniejsze, pani Barbara nie opuszczała jeszcze łóżka, gdy mąż jej ruszył w podróż do Pesztu, uwożąc z sobą niemowlę.

Gdy wrócił, otworzono szeroko oczy. Co ten człowiek czynił z dziećmi swemi? U kogo zostawił je w stolicy?.. A może celem jego był Budapeszt, słynna siedziba fabrykantek aniołków?..

I podczas gdy ludzie ostrzyli sobie języki, zajmując się rodzinną sprawą państwa Gathy, w domu ich rozlegały się jęki i płacze. To młoda matka oddawała się rozpaczy, żądając zwrotu dziecka. Prawie niespełna rozumu tarzała się u nóg męża, odwołując się do praw swoich, to znowu groziła mu rozwodem, lub przeklinając go, wołała.

— Oddaj mi dziecko moje! Oddaj je nędzniku!

Lecz ten dziwny człowiek pozostawał niewzruszony.

— Oddam ci je z czasem — upewniał. Nie nalegaj, nic nie wskórasz. Dziecku jest bardzo dobrze, więcej tłomaczyć ci nie będę. Poprzysiągłem przy marach żony mojej i przysięgi nie złamię!

Tak upłynęło pięć lat. Serce matki uginało się pod ciężarem bólu, a okrutny ojciec pozostał zimny i niewzruszony.

Tylko od czasu do czasu jeździł do Pesztu, a po powrocie opowiadał, że dzieci są zdrowe.

Wreszcie, pewnego dnia na tydzień przed świętą Barbarą, Laurenty rzekł do [illegible]

— Droga moja, szykuj się na przyjęcie małych gości, jutro bowiem jadę do stolicy i przywiozę ci dzieci.

Matka z okrzykiem radości rzuciła się w objęcia męża. To jedno słowo kazało jej zapomnieć o wszystkich udręczeniach.

religię państwową. W owym to czasie buddyjski mnich Siol-dżon wynalazł znaki „i-do,“ które umożliwiły Koreańczykom używanie chińskich hieroglifów i były początkiem stworzenia obecnie znanego, korejskiego alfabetu dźwiękowego „oń-muń.“ Korejska nauka i literatura miały swą kolebkę w buddyzmie. Klasztory buddyjskie długi czas korzystały z przywilejów, nadań ziemią i pieniędzmi. Większość działaczy, urzędników, nawet sławnych wodzów ówczesnych wyszła z pośród oświeconych i piśmiennych mnichów buddyjskich. Wtedy to powstały owe piękne świątynie i olbrzymie posągi (mi-ro-ki lub stok-iń — ludzie kamienni), leżące obecnie w gruzach lub kryjące się w zaroślach.

Chociaż konfucyonizm przeniknął do Korei prawie jednocześnie z buddyzmem (w V-ym wieku), rozkwit jego nastąpił znacznie później. Dopiero w XVI stuleciu, gdy po morderczej wojnie z Chinami, stoczonej na terenie korejskim, wojska japońskie ustąpiły, konfucyonizm wziął w Korei górę nad buddyzmem. Buddyzm korejski zawsze pozostawał w ścisłych i zażyłych stosunkach z buddyzmem japońskim, którego był rodzicem i od którego nawzajem odbierał w ciężkich chwilach moralne i materyalne wsparcia. Po ostatecznem opanowaniu półwyspu przez Chiny wszystko japońskie stało się podejrzanem, buddyzm uległ prześladowaniom i konfucyonizm zajął przodujące miejsce. Mnichom buddyjskim zabroniono nawet mieszkać w stolicy i miastach warownych, zabroniono im wznosić i odnawiać miejskie klasztory i świątynie. Zakaz ten przetrwał do 1895 r. i w rezultacie świątynie buddyjskie zachowały się w Korei jedynie w głuchych, górskich ostępach, daleko od miast. Konfucyonizm, uosabiający wpływ chiński po przeprowadzeniu upartej walki z władzą królewską, zapanował wyłącznie w sferach dworskich i urzędniczych. Miała Korea w tych walkach chwile zupełnie podobne do średniowiecznych walk europejskich kościoła i tronu. Królowie Jön-sań i Koań-he z panującej obecnie dynastyi, skłaniający się ku buddyzmowi, padli ofiarą tych zatargów i zostali pozbawieni nawet tronu i pośmiertnych tytułów.

Na ludowe wierzenia konfucyonizm wywarł wpływ o wiele mniejszy od buddyzmu. Jako religia książąt, uczonych i urzędników zasklepił się on w ciasnej sferze klas panujących i wraz z nią uległ zepsuciu i upadkowi. Jak i one czerpie on szczodrze środki swego utrzymania z kieszeni chłopów. Prześladowany buddyzm choć bardzo zubożały i zchłopiały przeciwnie żyje jeszcze i zdradza nawet oznaki odrodzenia. Odrodzenie to płynie znowu z Japonii, jak wszystko lepsze, dążące do poprawy kraju, do jaśniejszej przyszłości, do reformy i rozwoju, co pojawiło się w statnich czasach w Korei. W siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia zreformowana sekta japońskich buddystów Sin wniosła ożywczy prąd w zamierające klasztory korejskich buddystów.

Kilku młodych, zdolnych Korejczyków wstąpiło do szkoły duchownej Sin w Kioto i następnie zajęli się krzewieniem nowej nauki w swej ojczyznie. Obecnie mają oni już w Gensanie własną, piękną świątynię i szkołę oraz szkołę w pobliżu Seulu. W r. 1892 mnich japoński, Akamacu Kejsi, zbierał w Japonii pieniądze na założenie licznych szkół duchownych w Korei... Sądzę, iż odrodzenie się buddyzmu w Korei zależy w znacznej mierze od wyniku ogólnego ruchu, jaki powstał wśród buddystów całego świata w ostatnich czasach.

W końcu tego pobieżnego szkicu o religii Korejczyków muszę wspomnieć i o chrześciaństwie. Nie okazało ono żadnego prawie widocznego wpływu na światopogląd ludowych warstw korejskich, liczba jego wyznawców również jest nieznaczna *), lecz losy tego Kościoła były tak do niedawna tragiczne, tak głęboko związane z dziejami tego nieszczęśliwego kraju, z jego zmaganiami się z gnębiącą przemocą wewnętrzną, iż historya jego odbija do pewnego stopnia skłonności religijne Korejczyków i zdolność ich do uczuć oderwanych. Jest to jedyny może Kościół na Wschodzie, który powstał bez udziału Europejczyków i nigdy nie był ani na chwilę ich placówką *handlową* lub *dyplomatyczną*. Przynieśli chrześciaństwo do Korei Japończycy i początek jego datuje się od wojen japońskich z 1592 r. Lecz wraz z upadkiem wpływu Japończyków znikł z półwyspu i chrystyanizm, który jednocześnie w samej Japonii uległ srogim prześladowaniom. Odrodził się on dopiero w XVIII wieku, podjęty przez korejskich uczonych, którzy dla zapoznania się bliżej z nauką, o której w księgach wyczytali, wysłali do Pekinu młodego badacza, Siön-hun-i, syna tamtejszego posła korejskiego. Siön-hun-i przyjął chrzest i, nazwany Piotrem, został pierwszym katolickim misyonarzem w Korei, gdzie ochrzcił i nawrócił z czasem wielu wybitnych uczonych oraz wyższych urzędników. Okoliczność, że chrześcianie odmawiali udziału w uroczystościach na cześć przodków, wywołała pierwszy naganny edykt urzędowy w 1784 roku. Mimo to gminy chrześciańskie wzrastały w liczbie i organizowały się, stwarzając własną hierarchię kapłańską. W r. 1790 zwrócili się Korejczycy do katolickiego biskupa w Pekinie z prośbą o przyznanie i opiekę nad samopowstałemi gminami. Liczyły one wówczas do 4,000 wyznawców. Urzędnicy, choć wrogo usposobieni dla nowej nauki, nie prześladowali jej nazbyt, gdyż Wschód o wiele więcej jest i był toleranckim od Zachodu dla wszelkich spekulacyj umysłowych i religijnych. Dopiero gdy zacznie on podejrzewać w nich politycznych nieprzyjaciół, wówczas dąży do wytępienia ich z całą wschodnią bezwzględnością. Misyonarze europejscy, próbujący przedostać się do Korei, dają początek krwawym męczeństwom. W 1801 r. król korejski, wyjaśniając suzerenowi swemu, ces. chińskiemu, powody, dla których kazał ukarać śmiercią misyonarza Ciu, Chińczyka, powiada, iż chrześcianie pragną zawładnąć jego państwem za pomocą europejskich ludzi i okrętów. Od tego czasu krwawe, masowe zabójstwa i prześladowania prawie nie ustawały, przeciwnie wzrastały w miarę zwiększania się liczby misyonarzy europejskich, tajemnie przenikających w granice państwa. Szczytu swego sięgają one w r. 1839, za panowania królowej-regentki Kim. Były to zaiste czasy okropne. Więzienia były przepełnione i krew lała się strumieniami. Biskup Imber oraz misyonarze Mauban i Chastan pieczołowicie, z narażeniem życia ukrywani przez wiernych, sami oddają się w ręce rządu w nadziei, iż ukrócą w ten sposób wściekły gniew poszukujących ich siepaczy. Ale śmierć ich, choć osłabiła prześladowania, nie wstrzymała ich całkowicie. Z krótkiemi przerwami ciągnęły się one nieledwie do otwarcia granic Korei. Wstawienie się mocarstw europejskich tylko pogorszało położenie.

W 1866 roku byli zamordowani biskupi

*) 29,000, w tej liczbie 28,000 katolików.

A jednakże jaka niewyczerpaną skarbnicę słodyczy ten bezpowrotnie utracony czas uniósł ze sobą.

Ja bo sam jestem ojcem, sam pełnemi usty piłem z kielicha rozkoszy, jaką jest dla ojca umiłowane dziecię. Wiem, ile zachwytów, ile uroku mieści ten pierwszy okres życia drobnych istot. Jak zajmującem jest śledzenie rozwoju tego niezgłębionego mechanizmu, jakim jest budzący się umysł. Zrazu tylko odruchowo czynne koło pojęć, prawidłowo zaczyna się obracać. Wolny w zaczątku ruch potężnieje, staje się coraz szybszy, aż wreszcie w chyżości niedosięgły, nie ustaje ani na chwilę.

Pierwszym znajomym mego syna był kot. Z nim już w zaraniu życia łączyły dziecko przyjacielskie stosunki. Pierwsze też słowo malca wyszło pod jego adresem „cici, cici!“ Jakaż to radość zapanowała w domu z tego powodu, a kot w nagrodę otrzymał podwójną porcyę kawy.

Później w kąpieli, gdy gąbka swem dotknięciem przypomniała dziecku kota, nazwał ją również „cici.“ Niedługo potem, przy pierwszej łyżce zupy, pływająca kluska przywiodła mu na myśl gąbkę, unoszącą się na wodzie, i ciasto ochrzcił mianem „cici.“ Było to na początku zimy, wkrótce też leciutkie płatki śniegu zawirowały w powietrzu, podobne do drobnych zacierek i te syn mój uśmiechając się błogo nazwał „cici.“

Więc wszystko dlań jedną wspólną nosiło nazwę, ale była w tem pewna logika myśli.

A zachwycające omyłki tego wieku, któż czar ich oddać zdolny. Za przykład niech mi wolno będzie przytoczyć jeden epizod z życia mego syna.

Pewnego dnia zabrudził ubranko, więc biegnąc woła: „Mamusiu daj inne!“ Nazajutrz, upadł kalecząc ucho — „Daj inne,“ rozkazuje tym samym tonem.

A któż opisze urok uśmiechu dziecka. Promienieją od niego ściany najposępniejszych murów. Cóż dopiero, gdy pełnym rozbrzmiewa głosem. Niczem wtedy trele ptaków, czarodziejska muzyka cygańska, wesołe podskoki młodych jagniąt na szmaragdowej łące.

I tego to pierwszego, zachwycającego okresu rozwoju dziecka pozbawił Gathy swoją żonę.

Ale długo oczekiwana godzina nadchodzi. Obszerny powóz wjeżdża na dziedziniec dworski, i dwie różowe buzie opatulone po szyję wyglądają z puszystych futer.

Pan Gathy pomaga im wysiąść.

Na ten widok kobieta, promieniejąca radością, z bijącem od wzruszenia sercem biegnie i wyciąga ręce, mierząc jednocześnie obu przenikliwem spojrzeniem.

„Mamusiu — woła jeden i rzuca się jej na szyję, „mamusiu“ — wybucha drugi i ustami do rąk jej przylega. Który pocałunek mieści w sobie więcej słodyczy, matka próżno chce odgadnąć.

Jeden z chłopców nazywa się Laesi, drugi Pali. Obaj podobni są do siebie wzrostem i tuszą. Nic dziwnego, niema żadnej prawie między nimi różnicy wieku, kilka miesięcy nie stanowi. Żona bierze męża na stronę i namiętne rzuca mu pytanie:

— Który jest moim synem, powiedz?

Gathy wybucha długim przeciągłem śmiechem.

— Nie, to wyborne, wyborne! Czyż nie dlatego wychowywałem ich zdala od ciebie. czyż nie dlatego długie lata spędziłem w rozłące z nimi, chrzciłem ich w ukryciu, aby przed tobą właśnie zataić, który jest rodzonem twojem dziecięciem, abyś nie domyślając się niczego, obu równą otoczyła miłością.

— Laurenty pomyśl, co czynisz — nacierała kobieta tonem błagalnym.

— Namyśliłem się dobrze. Gdy obaj ukończą rok dwudziesty i starań matki więcej potrzebować nie będą, wtedy powiem ci, który jest twoim i dam ci tego do-[illegible]

[illegible]

Tłom. *A. Zylbersztajnowa.*

Daveluy i Berneux oraz wszyscy misyonarze europejscy. Chrześcian krajowców zginęły tysiące: karano nawet krewnych ich pogan do szóstego pokolenia. Reszta rozbiegła się, kryjąc po górach i lasach. Dopiero traktat wymuszony w 1875 r. na Korei przez Japonię przerwał pośrednio bezprawia i okrucieństwa, otwierając dostęp do brzegów „Państwa Cichego Poranku.“

Dzięki swej męczeńskiej przeszłości, katolicyzm, choć słaby liczebnie, zapuścił głęboko korzenie w serca części ludu korejskiego, gdyż stał się istotnie religią maluczkich i uciśnionych.

V. Wyjazd z klasztoru. Góry Korejskie.

Po wczesnem śniadaniu mieliśmy obejrzeć klasztor. Przyszedł od przełożonego braciszek i wyprowadził nas z klasztornego zajazdu na wiodący do świątyń dziedziniec. Przez małą furtkę, wybitą w ciemnym murze, ujrzałem przedewszystkiem wązką kotlinę, złotą od jesiennego lasu, pełną różowego świtu, zlewającą się łagodnie z bladym szczytem pobliżkim. Błękitne niebo płonęło w górze strzelistym blaskiem wstającego za górami słońca.

W dole, na złomach skał, na drzewach, na nieprzetartych jeszcze ścieżkach, na głazach, w brunatnych zacieniach budynków bielały puchy nocnej, ściętej na szron wilgoci. Pośrodku, na urwistej, podmurowanej krawędzi potoku stały cichymi rzędami szare, chińskie budowle, piętrzyły się ciężkie, rogate dachy. Wyblakłe malowidła ich wdzięcznie wygiętych okapów, pomierzchchła zielono-żółto-niebieska łuska polewanych szczytów, poszczerbiona rzeźba filarów, galeryjek, wiązań, przerznięta gdzieniegdzie ostrą smugą ocalałej purpury lub błyskiem dawnej pozłoty, zlewały się zgodnie z jesiennym krajobrazem.

Czerwona brama w niewysokim murku rozwarła się przed nami i wstąpiliśmy na drugi z kolei wewnętrzny dziedziniec. Tu obejrzeliśmy przedewszystkiem altanę z ogromnemi, pionowemi, kamiennemi płytami we wnętrzu, pokreślonemi gęsto hieroglifami — to pamiątkowe kamienie cesarzów korejskich. Dalej wznosił się wielki pawilon cesarski na czerwonych słupach. Stąd niegdyś władcy korejscy wraz z dworem przypatrywali się uroczystościom, nie mieszając się z tłumem. Poszliśmy dalej wzdłuż potoku i po kamiennych wschodach wstąpili we wrota, w których na prawo i lewo stały ogromne, jaskrawo malowane figury. Był tam Tom-ban-czo-nen z zielonemi brwiami i wąsami, z swastyką w koronie, depczący złe duchy; był Pu-pang-czo-nen z kobiecą twarzą, grający na gitarze „jan-gym“; był Saban-cza-ghan z dzidą i Nam-ban czo-nen z błękitnymi wąsami, z wężem w ręku — wszystko znani geniusze buddyjscy na tle pysznie malowanych, pawich ogonów.

Za tą bramą w głębi podwórza widniała druga brama z olbrzymim bębnem na poddaszu. Tędy wiodła droga na dziedziniec, gdzie stoi główna świątynia z 9 złoconymi Buddami. Na zadumane głowy posągów pada z wysokiego, malowanego stropu kolorowa łuna czerwieni, złota, zielonych i niebieskich arabesek; padają cienie potężnych słupów, wspaniałych pni cedrowych, odartych z kory, tworząc razem przepiękny zmierzch. Przed ołtarzem zwieszają się trzy wielkie, kolorowe latarnie i trzy długie „hak,“ szerokie wstęgi żółtego jedwabiu.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Porażki kleru hakatystycznego. — Wyniki procesu Koppa przeciwko *Górnoślązakowi*. — Zebranie katowickie. — Wymieranie socyal-hakatystów.

Nie wiedzie się centrowcom w ostatnich czasach na Górnym Śląsku — w tym kraju, który uważali do niedawna za najmocniejszą swoją twierdzę. Po wyborach, które naraziły ich na utratę kilku tysięcy głosów najwierniejszych dotychczas wyborców i jednego mandatu, przyszła tragedya laurahucka, wszczepiająca w serca tysięcy Górnoślązaków nienawiść do księży-germanizatorów. Jeszcze nie zamarły echa przekleństw i złorzeczeń pod adresem tego kleru, który spowodował surowe wyroki na dziesiątki oskarżonych o rozruchy w Hucie Laury, kiedy przed trybunałem stanął główny herszt hakatyzmu katolickiego, kardynał w pikelhaubie, biskup Kopp. Właściwie na ławie oskarżonych siedział skromny redaktor odpowiedzialny *Górnoślązaka*, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że odbywa się sąd właściwie nie nad nim, tylko nad całą czeredą brutalnych, wprost rozbestwionych hakatystów w sutannach. Przed sądem przesunął się cały tłum świadków — ludzi prostych, pobożnych katolików — wyrobników, rzemieślników i chłopów, którzy odmalowali w takich ponurych barwach rolę duchowieństwa katolickiego względem katolickiej ludności polskiej, że najfanatyczniejszy wróg kościoła rzymskiego nie mógłby tego wymowniej uczynić.

Nadużywanie konfesyonału i kazalnicy oraz sakramentu spowiedzi w celach polityki hakatystycznej posunięte zostało do ostatecznych granic. Księża teroryzowali ludność polską, zakazując jej czytywać pisma polskie, uciekali się do denuncyacyi przed władzami fabrycznemi, a wszystko to działo się z nakazu kardynała Koppa i z jego wiedzą. To też każdy, przysłuchujący się zeznaniom świadków, rozumiał dobrze, że w procesie tym otrzymuje cios po ciosie nie kto inny, jak jego eminencya kardynał, arcybiskup wrocławski, p. Kopp. Każdy zrozumiał, że tu chodzi o los całego systemu, którego twórcą i reprezentantem jest kardynał-hakatysta, że tu chodzi o dalsze losy wpływu kościoła katolickiego na milion dusz polskich starej ziemicy piastowskiej...

I dramat został przerwany przed zakończeniem. Poseł Korfanty — od niedawna wierny katolik nie mógł dopuścić do ostatecznego zdyskredytowania hakatysty-kardynała — też przecie katolika — i pośpieszył mu z pomocą. *Górnoślązak* złożył oświadczenie, w którem żałował, że zamieścił artykuł (charakterystyczne, że artykuł ten został przedrukowany z warszawskiego *Przeglądu Katolickiego*!), mogący „ubliżyć czci Jego Eminencyi“ — i „Jego Eminencya“ raczył cofnąć skargę. Odpowiedzialny redaktor *Górnoślązaka* wyszedł cało, kardynał Kopp poniósł koszta sądowe procesu i wyszedł zeń jeszcze do pewnego stopnia jako tako z honorem.

Poseł Korfanty zasłużył na pochwałę pism klerykalnych, że postąpił, jak przystało na katolika, ale centrowcom i p. kardynałowi to postąpienie, bezwarunkowo osłabiające tryumf *Górnoślązaka*, w opinii nie dużo pomogło. Każdy, kto zna stosunki górnośląskie, nie może nie przyznać, że ze wszystkich ciosów, jakie centrum otrzymało na Śląsku w ciągu ostatnich lat paru, ten ostatni jest najcięższy.

Przyznaje to cała prasa niemiecka — tak protestancka, jak i katolicka, ubolewając nad upadkiem wpływu centrum, jako czynnika germanizatorskiego. Pisma centrowe trąbią obecnie do odwrotu, oświadczając, że „kościół katolicki na Śląsku potrzebuje obecnie przedewszystkiem spokoju“ i że „tych parę krzesełek poselskich“ nie odgrywa tak wielkiej roli, ażeby z ich powodu narażać na szwank interesy kościoła katolickiego. *Górnoślązak* zmuszony jest obecnie do drukowania sążnistych „sprostowań“ różnych księży, skompromitowanych w procesie, ale prokurator wskutek interwencyi kardynała Koppa zaniechał wszczęcia sprawy o krzywoprzysięstwo przeciwko tym świadkom, których zeznania owi księża prostują.

Proces bytomski skończył się straszliwą kompromitacyą kleru. Trzeba znać lud górnośląski, ażeby zrozumieć, jak dodatnim czynnikiem w procesie jego odrodzenia się narodowego i społecznego jest wszelkie obniżenie wpływu nań księży. Pamiętajmy, że do ostatnich niemal czasów księża na Górnym Śląsku byli jedyną inteligencyą, bliską ludowi, że wskutek tego wpływ ich był przepotężny i wyłączny, co uniemożliwiało wszelki postęp, wszelkie dźwiganie się kulturalne i społeczne tego ludu. Kler górnośląski składa się prawie wyłącznie ze zgermanizowanych i uważających się za Niemców synów ludności polskiej. Jest on przejęty interesami Rzymu, a te tak obecnie są podporządkowane w Prusach interesom germanizmu, że księża, właśnie z rozkazu Rzymu, są najzagorzalszymi germanizatorami i sługami pruskiej idei państwowej. Dlatego też bez złamania powagi i wpływu kleru nie może być mowy na Górnym Śląsku ani o odrodzeniu narodowem w całem znaczeniu tego słowa, ani o emancypacyi społecznej.

Że takie wystąpienie, jak szalona i bezwzględna wprost agitacya przeciwko *Górnoślązakowi* i innym pismom anticentrowym, bardzo skutecznie podkopała powagę armii kardynała Koppa o tem nie podobna wątpić. Już to, co się wykryło podczas ostatniego procesu, mianowicie, że ludzie oburzeni wychodzili z kościołów podczas kazań antipolskich, że pomimo zakazu duchownych w dalszym ciągu prenumerowali pisma wyklęte, już to świadczy o wielkim postępie. Ale w ostatnich czasach nie brak i innych dowodów emancypowania się ludności robotniczej z pod wpływów duchowieństwa.

Mówi o tem przedewszystkiem znaczny wzrost zwolenników *Gazety* katowickiej w Zagłębiu przemysłowem. Zdobycie przez związki zawodowe dużego lokalu w Katowicach umożliwiło odbywanie bardzo licznych zgromadzeń, na których przeważają wytrawni działacze, ściągający pomału na Górny Śląsk z emigracyi, gdzie się wyrobili. W niektóre niedziele w Katowicach odbywają się aż trzy zebrania, czego nigdy jeszcze na Śląsku nie bywało. Po 600—700 robotników polskich gromadzi się w celu wysłuchania referatów pp. Trąbalskiego, Brzeskwiniewicza, Kunzego, dr E. Golde itd. Świeżo został zdobyty lokal w Gliwicach, w Zabrzu również tworzy się ośrodek pracy kulturalnej i polityczno-społecznej.

Pocieszającem jest, że praca, odbywająca się głównie na tle związków zawodowych, prowadzona jest w zupełnej zgodzie z kierownikami organizacyi niemieckiej. Niemieccy mężowie zaufania kolportują *Gazetę Robotniczą*, nie dopuszczając zupełnie na Śląsk socyal-hakatystycznego świstka poznańskiego, t. zw. *Gazety Ludowej*, wydawanej przez partyę niemiecką pod aspiracyami osławionej Róży Luxemburg. Niedopuszczenie tego organu na Górny Śląsk jest naturalnie bardzo dotkliwym

ciosem dla socyal-hakatyzmu, gdyż wydawanie pisma dla 37 prenumeratorów to bądź co bądź luksusem, na który przez dłuższy czas trudno sobie pozwolić.

Socyal-hakatyzm zresztą znajduje się w stanie zupełnego rozkładu, gdyż cała gwardya p. Luxemburg dziwnym zbiegiem okoliczności rozpierzchła się po świecie. Dr. Winter jest ciężko chory nerwowo i wskutek tego nieczynny, p. Gogowsky, ex-kandydat na posła z Poznania, musiał się wynieść gdzieś do Westfalii, gdyż w Poznańskiem miano go już dosyć. Nawet p. Kasprzak, ten najwierniejszy towarzysz p. Luxemburg, znikł z Poznania i czmychnął, gdzie pieprz rośnie, w obawie bardzo brzydkich komplikacyj. Runęła w końcu najefektowniejsza twierdza socyal-hakatyzmu, kierowana przez Kasprzaka piekarnia współdzielcza, która na pozór szła świetnie, ale w końcu musiała ogłosić upadłość. Nieliczny sztab socyal-hakatystów uszczuplony też został zniknięciem z widowni różnych Spielerów, Berendtów, Wernerów itd., którzy—jak się pokazało—dwom panom służyli. Wobec tego p. Luxemburg jest obecnie do takiego stopnia osamotniona w swej akcyi, że nie pozostaje jej nic innego, jak uprawiać denuncyacyę w miesięczniku, redagowanym przez jednego z dwóch jej przyjaciół politycznych. Z denuncyacyą tą zwróciła się ona i przeciwko niżej podpisanemu, ale, jak dotąd, bez skutku.

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Paryż, 15 kwietnia.

Uchwalenie przez Izbę prawa wzbraniającego zakonom wszelkiego nauczania. — Usunięcie godeł religijnych z izb sądowych. — Odwrotna strona medalu prawa Milleranda - Colliarda. — Pierwszy kongres mieszany nauczycieli szkół elementarnych i średnich.

Pomimo największych usiłowań wszelkiego rodzaju wsteczników Izba sporą większością, bo 306 głosami przeciw 241 zawotowała przed feryami wielkanocnemi prawo o zniesieniu wszystkich szkół kongregacyjnych. Nietylko reakcyoniści czystej wody, jak Lasies lub Binder stawiali wciąż nowe kontrprojekta, zmiany, poprawki w celu pogrzebania lub odłożenia prawa *ad calendas graecas*, lecz i republikanie umiarkowani, jak Ribot, Leygues, Caillaux, Doumer, chcieli koniecznie prawo to ograniczyć i uniemożliwić zastosowanie jego w praktyce. Nawet skrajny radykał, ex-minister Millerand, starał się w tem dopomódz reakcyonistom. Pragnąc upadku Combes'a przed zawotowaniem prawa, niespodzianie podczas debatów nad niem, napadł na prezesa ministrów, że zaniedbuje wszelkich reform społecznych, że na dwukrotne wezwanie komisyi parlamentarnej nie stawił się dla dania swej opinii i opracowania prawa o emeryturze dla robotników.

Nie dali się jednak szczerzy republikanie uwieść złudnym frazesom rzekomego obrońcy robotników, którego projekt do prawa został potępiony przez wszystkie niemal związki zawodowe i giełdy pracy. Skwapliwie przyjęli oni ważną poprawkę deputowanego radykalnego Rabier, który w celu skrócenia przeciągających się rozpraw i położenia tamy nieustannej obstrukcyi nacyonalistów, zastąpił dziewięć ostatnich artykułów prawa jednym upoważniającym rząd do rozstrzygania wszelkich trudności i nieporozumień na drodze administracyjnej za pomocą odpowiednich instrukcyj i regulaminów.

Artykułem zasadniczym prawa jest wzbronienie kongregacyom we Francyi zajmowania się oświatą wszelkiego stopnia i rodzaju. Na nieszczęście poprawki obniżają ogromnie to prawo. Przedewszystkiem dotychczasowe szkoły kogregacyjne mają być zamknięte dopiero po upływie lat dziesięciu. W projekcie Buissona miało być lat pięć, ale Izba przyjęła poprawkę ex-ministra Caillaux niby ze względów oszczędnościowych. Zniesienie wszystkich szkół kongregacyjnych we Francyi musi naturalnie pociągnąć za sobą spore koszta na budowę nowych gmachów szkolnych, jak również na utrzymanie zwiększonego personelu nauczycielskiego, wiadomo bowiem, że obecnie co najmniej jeszcze pół miliona młodzieży płci obojga pobiera naukę w szkołach zakonnych, a jak *Temps* utrzymuje, około 1,200,000. Podług obliczeń komisyi parlamentarnej i ministeryum na budowę szkół nowych potrzeba będzie 63 miliony fr., z których samo miasto Paryż ma dać 24 mil., a prowincye 39 mil. Z tej jednak sumy 43%, tj. 17 milionów, przypada na państwo, reszta, tj. 22 miliony na gminy. Słowem, nawet wyznaczenie 5-letniego przeciągu czasu na zniesienie szkół kongregacyjnych nie przyczyniłoby wielkiego ciężaru gminom i nieznacznie tylko zwiększyłoby podatki. Nie oszczędność więc grosza publicznego mieli na widoku reakcyoniści, głosując za poprawką Caillaux, a jedynie odroczenie chwili wykonalności prawa o jedno pięciolecie więcej, przeciągnięcie jak najdłużej zakonnego wychowania młodzieży.

I druga poprawka prawa ex-ministra Leygues'a, ograniczająca je tylko do Francyi, z wyłączeniem kolonij i zagranicy, była również fortelem, mającym na celu utrzymanie za jaką bądź cenę szkół zakonnych. Leygues i jego stronnicy powoływali się przy tej sposobności na cywilizacyjną misyę zakonów w koloniach, na rozpowszechnianie przy ich pomocy kultury francuskiej i języka francuskiego po całym niemal świecie. Na Wschodzie, w Azyi i Afryce, tak na lądzie jak na wyspach, ilość upoważnionych, francuskich szkół zakonnych wynosi podobno 3,622 ze 130,000 dzieci, ponadto zaś jest 245 kongregacyjnych przytułków dla sierot, podczas gdy z świeckich szkół francuskich korzysta zaledwie 2,000 dzieci. Większość deputowanych, nie chcąc wogóle ujednostajnienia pod względem prawodawczym kolonij z krajem, dla tem łatwiejszego władania niemi, głosowała skwapliwie za poprawką Leygues'a, tak jak w końcu roku ubiegłego chętnie zawotowała sumę 393,000 fr. na utrzymanie misyonarzy francuskich. Na szczęście jednak do poprawki Leygues'a przyjęto dodatek, ograniczający wogóle liczbę uczni w nowicyatach i niedozwalający na przyjmowanie młodszych, niż 21-letnich.

Pomimo jednak zmian, wniesionych przez Leygues'a i Caillaux, nie można nie przyznać Combes'owi energii i odwagi w przeprowadzeniu owego prawa w Izbie w czasie względnie dość krótkim. Dowiódł też śmiałości sędziwy prezes ministrów, wydając w ostatnich dniach marca w porozumieniu z ministrem sprawiedliwości, Vallé, okólnik do prokuratorów sądu i prefektów ze stanowczem żądaniem usunięcia z izb sądowych w ciągu feryj wielkanocnych wszelkich godeł religijnych. Choć niejednokrotnie domagali się tego tak wolnomyślni w pismach i na ogólnych zebraniach, jak deputowani i senatorowie w parlamencie, chociaż przy ostatnich rozprawach nad budżetem większość deputowanych wyraźnie to żądanie zaznaczyła, jednak okólnik Combes'a i Vallé był dla wielu niespodzianką, tem bardziej że zabrano się bezzwłocznie do wykonania rozporządzenia. Wszystkie godła wartości artystycznej przeniesione zostaną do muzeów; takie właśnie przeznaczenie otrzymały już obrazy Chrystusa — Bonnat'a i Henner'a, które oglądać będzie można w Luwrze, słynny zaś tryptyk Memlinga, wykonany w XV wieku na żądanie Ludwika XI, ma być najpierw przeniesiony na wystawę sztuki średniowiecznej, francuskiej (Exposition de Primitifs français), która właśnie parę dni temu zaledwie otwartą została.

Już to w tym roku podczas feryj wielkanocnych nie było tak cicho i spokojnie, jak lat poprzednich. Cała Francya wre już gorączką przedwyborczą do rad miejskich, a mury pokrywać się zaczynają różnobarwnymi afiszami, w których kandydaci walczą pomiędzy sobą przy pomocy kłamstw i potwarzy z jednej strony, a samolubstwa, frazeologii i złudnych obietnic — z drugiej.

W departamencie wielce przemysłowym Somme i po części w departamencie Nord, a mianowicie w miastach Roubaix, Tourcoing, Lille, Amiens itd. setki przędzalni i fabryk tkackich stanęło, gdyż dziesiątki tysięcy robotników zaprzestały pracować, żądając energicznie utrzymania dawnej płacy. Powodem zatargu jest wprowadzenie w życie z d. 1 kwietnia prawa Milleranda-Colliarda, oznaczającego *maximum* dnia roboczego na 10 godzin w fabrykach i warsztatach, gdzie wraz z mężczyznami pracują kobiety i dzieci. Z prawa tego powinno korzystać przeszło 2 miliony robotników, a mianowicie 433,637 dzieci, 603,185 kobiet i 1,111,325 mężczyzn, a tymczasem teraz właśnie żyją wszyscy w nędzy i w stanie oblężenia. Żądają w Roubaix 4 fr. dziennej płacy, a *minimum* 20 fr. tygodniowo, ale wszechpotężny władca Motte, zatrudniający w swych fabrykach przeszło 15,000 robotników, zarazem deputowany i mer miasta, nie chce ani słuchać o porozumieniu ze związkami zawodowymi, dowodząc, że płaci najwyższą w Europie cenę robotniczą. Tymczasem wiadomo, że właśnie w jego państewku, w Roubaix, na 125,000 mieszkańców, czyli na 32,000 rodzin — 19,345 jest zapisanych w księgach dobroczynności — jako potrzebujących wsparcia, a śmiertelność dzieci większą jest, niż gdzieindziej, bo dosięga 12⁰/₀.

Dziś ze względu na wyższą politykę Jaurès i jego adepci ani w prasie, ani w Izbie nie wystąpią przeciw rządom obecnego gabinetu, — mrący więc z głodu tkacze w Roubaix będą musieli prawdopodobnie ustąpić Krezusowi Motte i dzięki prawu Milleranda-Colliarda przystać na jeszcze mniejszy zarobek dzienny. *)

Wśród licznych kongresów, jakie odbyły się we Francyi podczas feryj wielkanocnych, a mianowicie ligi pokoju, profesorów szkół średnich, towarzystw naukowych, ginekologów i akuszerów itp., na szczególniejszą uwagę zasługuje kongres mieszany nauczycieli szkół elementarnych i profesorów liceów. Odbył się on po raz pierwszy — za pozwoleniem i pod przewodnictwem ministra oświaty, Chaumié. Obrady miały miejsce w Collège de France przez dni trzy przy udziale 194 delegatów od stowarzyszeń nauczycieli elementarnych t. zw. Amicales d'instituteurs, oraz 75 delegatów stowarzyszeń profesorów licealnych. Pomimo wzajemnej niechęci i nieufności tych przedstawicieli oświaty ludowej z jednej strony a oświaty burżuazyjnej z drugiej, pomimo namiętnych dyskusyj i wkraczania ciągłego w sferę polityki, kongres ten oddał nader wielkie usługi: naszkicował drogę do wspólnej pracy i harmonii, poruszył wiele kwestyj palących i wyjaśnił zadania nowoczesnych wychowańców młodzieży. Przewodnią bowiem ideą było zniesienie dotychczasowego rozdziału i zapór pomiędzy nauczycielami elementarnymi i profesorami liceów, zadzierzgnięcia między nimi ściślejszych

*) Pisma doniosły o zawartej już umowie, na mocy której robotnicy podobno otrzymali to, czego żądali. (*Przyp. Red.*).

węzłów, połączenie ich u wspólnego ogniska, wykazanie jedności dążeń i ideałów. W tym właśnie celu mają być zakładane na podobieństwo powstałego niedawno w Bordeaux — wspólne stowarzyszenia do których należeliby członkowie wszystkich szkół elementarnych, średnich i wyższych, prócz tego profesorzy liceum łączyć się będą z nauczycielami w stowarzyszeniach wzajemnej pomocy na wypadek choroby i śmierci („Mutualité scolaire“), jako też wspólnie zajmować się oświatą ludową wśród młodzieży i dorosłych. Wreszcie jednogłośnie przyjęto życzenia następujące:

1) Oświata nie powinna mieć ani za cel, ani za skutek tworzenia różnych klas społecznych.

2) Szkolnictwo nie powinno się składać z trzech odmiennego charakteru szkół: elementarnych, średnich i wyższych, a jedynie dzielić się na stopnie.

3) Szkoły tego różnego stopnia winny być dostępne dla wszystkich, stosownie do uzdolnienia i pracowitości uczniów.

4) Metoda jest jedna, różnice zależą jedynie od wieku uczniów.

5) Metoda winna być antidogmatyczna, pozytywna, krytyczna i sprzyjająca rozwinięciu ducha niezależnego badania.

6) Metoda ta musi umożliwić dostęp do umysłu uczniów wszelkich zdobyczy nauki pozytywnej.

7) Nie należy obawiać się dotknięcia całego obszaru wiedzy, nie wyłączając nauk politycznych, ekonomicznych i społecznych.

Dr. Józef Zieliński.

Przeciw prostytucyi.

(Dokończenie).

Z „Odpowiedzi“ dowiadujemy się też o stanie sprawy po za kantonem Zurichskim. W państwie Niemieckiem kodeks karny z 1870 r. zabronił rajfurstwa i wskutek tego w większości miast niemieckich domy publiczne zostały zniesione. W całych Niemczech, z wyjątkiem Berlina, było w 1884 r. — w 217 miastach 12,080 dziewek pod kontrolą, w Berlinie 3,724. Na Śląsku Pruskim w 19 z liczby 51 miast — 2,062, w Poznanskiem w 8 z liczby 17 — 578, w Prusach Wschodnich w 9 miastach z liczby 16 — 425. Na Śląsku w jednem z miast przypada 1 dziewka na 150 mieszkańców. W Poznańskiem, (zapewne w Poznaniu) jedna na 211 mieszkańców.

W Bazylei oficyalna prostytucya jest całkiem zniesioną, również i w kantonie Neuchatel zniesiono ją kodeksem z 1891 roku. W Bernie stręczycielstwo zostało zabronione w r. 1886, ale domy publiczne są dotychczas nieurzędownie cierpiane, chociaż miasto zostało w znacznej mierze oczyszczonem z prostytucyi ulicznej. Policya berneńska zajęła się w 1887 r. zbadaniem stanu prostytucyi i złożyła raport rządowi, z którego przytaczamy następujące słowa:

„W roku 1887 złożono Dyrekcyi policyi wiele skarg w rodzaju następujących: Skarżyli się rodzice pewnej młodej dziewczyny, która była zaangażowana do Bielu na służącą, została zwerbowaną przez pewną rajfurkę, stamtąd udała się do Zurichu i nakoniec wysłaną była do Turinu. W pierwszym zakładzie zostawiła dług, który wzrósł jeszcze w drugim, a w trzecim doszedł do wysokiej sumy. Dług ten, od którego nigdy się nie mogła oswobodzić, był, można powiedzieć, ceną sprzedania jej, za którą jeden zakład ustępował ją drugiemu. Ponieważ dziewczyna była jeszcze małoletnią, więc dzięki energicznemu wystąpieniu konsula szwajcarskiego w Turynie mogła być zwróconą rodzicom. — Inna bernianka, która znajdowała się w Chaux-de-fonds, była tam trzymana kompletnie, jak w więzieniu. Nie oddawano jej listów od rodziców, nawet rekomendowanych. Gdy policya o nią się upomniała, była już wyekspedyowana do Genewy, i udało się ją odebrać dopiero po zagrożeniu gospodyni banicyą. — Trzecia dziewczyna, zamknięta w domu publicznym, genewskim, napisała list ze skargą do prezydentki pewnego Towarzystwa opieki, prosząc o umożliwienie jej opuszczenia zakładu, w którym była zamknięta. Właściciel zakładu, przewąchawszy ten krok, natychmiast wysłał ją do innego miasta i policya nie mogła już wpaść na jej ślad... Dziewczęta, przynęcone do domów rozpusty obietnicą jakiejś rajfurki, która umie wyciągnąć korzyść z ich niedoświadczenia, pozostają tam na łańcuchu nieuniknionych długów, które dla większości ich, jeżeli nie dla wszystkich, tworzą obrożę zamykającą je na zawsze. Wyzysk tego bydła ludzkiego odbywa się z cynizmem graniczącym z naiwnością. Dziewczęta, które przynosiły swoim panom więcej, niż po 200 fr. miesięcznie, dochodziły do tego, że dzięki udoskonalonej metodzie prowadzenia rachunków, nie mogły nazwać swą własnością nawet bielizny noszonej przez siebie. Jakże tu można mówić o swobodzie osobistej i upodobaniu w takim losie. Upodobanie jest zwykle następstwem pogodzenia się z koniecznością. Wejście do domu publicznego oznacza dla kobiety najniższy stopień upadku. Znika nawet jej osobistość: w tych domach niewolników występku jest ona tylko numerem... Nie tu miejsce opisywać niebezpieczeństwo, jakie wynika z tolerującego prostytucyę zapatrywania urzędów na moralność publiczną, jak dalece może się sfałszować sumienie publiczne przez przenikanie do wszystkich sfer ludności idei „zła koniecznego.“

„Usunięcie wpisywania dziewek i kontroli sanitarnej jest bezwarunkowo niezbędnem, ponieważ policya nie może przyjmować wyjaśnień równoznacznie z zobowiązaniem się wypełniania czynności określonych, jako występek przez kodeks karny, nie może też ona przyjmować na siebie obowiązku dopilnowywania warunków, pod jakimi powinny być dopełnione te występki.“

Prostytucya wpija się we wszystkie stosunki życiowe w mniejszym lub większym stopniu, jak żadna prawie inna dziedzina szkodliwości społecznych, ale spróbujmy wejść na drogę zwalczania przemysłu niemoralnego i dążmy do zniesienia tej podstawy nieobyczajnej. Jeżeli nawet cel nie zostanie osiągniętym w tym stopniu, jak tego sobie życzymy, o czem nikt sądzić nie może, dopóki i u nas nie przemówi doświadczenie, to w żadnym razie nie moze stać się gorzej, niż jest obecnie i w żadnym razie tak źle, aby niemoralność mogła się odbywać przy państwowej tolerancyi i opiece. Nie objawiajmy siebie bankrutami wobec niemoralności, która wymaga energicznej pracy, aby wywołać istotne zmiany; zerwijmy z przesądami. Bądźmy — powiada „Odpowiedź“ i w tym razie przykładem dla zagranicy, tak jak stosunki nasze są dla niej przykładem pod wielu innymi względami, wówczas spełnimy nasz obowiązek, jako ludzie i jako obywatele.

W końcu broszury „Zurichskie kantonalne Towarzystwo dla podniesienia obyczajności“ ogłosiło program przeprowadzenia takiego w życiu. Z tego programu przytaczamy następujące punkty:

I) Państwo nie uznaje prostytucyi w żadnej formie.

II) Dziewki uliczne lub też z domów publicznych powinny być zabierane do specyalnego aresztu, cudzoziemki, oraz pochodzące z innych kantonów — wydalane, obywatelki zaś kantonu — zagrożone karą, a w razie recydywy — ukarane i oddane do domu poprawy, gdzie powinny być też przymusowo leczone z chorób płciowych. Tam mają być też podjęte starania, aby je zwrócić na drogę życia obyczajnego i skierować ku jakiemuś porządnemu powołaniu.

V) Trzeba ułatwić leczenie się osobom dotkniętym zakaźnem chorobami wenerycznemi.

VI) Stowarzyszenia wszelkiego rodzaju powinny zająć się oddziaływaniem, aby dziewczęta nie były uważane w domu rodzicielskim za istoty niższego rzędu, większy wogóle szacunek dla płci żeńskiej dobrze może wpłynąć na uobyczajenie.

VII) Potrzebnem jest prawo kantonalne dla obrony tych robotnic i panienek uczących się w różnych zawodach, które nie znajdują się pod opieką prawa fabrycznego. Wobec tego koniecznemi są:

Biura pośrednictwa pracy, pozostające pod ścisłą kontrolą.

Urządzenie schronisk wieczornych, osobliwie zimą, dla niezamożnych i samotnych.

Decyzya Rady sanitarnej kantonu z r. 1892 była powodem dyskusyi w łonie zarządu miasta. Spór zakończył się ponownem postanowieniem zarządu w 1894 r. *) prześladowania domów publicznych oraz prostytucyi pojedyńczej. Opierając się na tem postanowieniu, komitet wykonawczy „Towarzystwa dla podniesienia obyczajności“ wszedł w łączność z urzędami miasta, przyczem okazała się konieczność zaprowadzenia zmian w ustawie karnej. Towarzystwo postanowiło uchwycić się ostatecznego środka, tj. inicyatywy ludowej. W 1895 r. zaczęto już zbierać podpisy. W ciągu $2^1/_2$ miesięcy zebrano 16,800 podpisów osób poważanych w kantonie, należących do wszelkich partyj i stanów.

Dalszy przebieg sprawy wiadomym jest z poprzedniego artykułu. **) W ten sposób punkt I programu „Towarzystwa“ został osiągnięty.

W Związku szwajcarskim ma być wprowadzonym nowy kodeks karny, jednolity dla wszystkich kantonów. Szwajcarzy spodziewają się, że ten kodeks potępi prostytucyę.

A. Wróblewski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dziś a niedawno.

Ósmy dziesiątek lat zeszłego wieku był w rozwoju naszego życia umysłowego momentem tak ważnym, że jego znaczenie coraz wyraźniej odbija się na tle teraźniejszości, do której on ciągle sięga swym wpływem. Zdaje się, że z wielu historyków i krytyków tej doby jeden tylko P. Chmielowski znał ją z bezpośredniego badania; inni wysysali sobie jej dzieje z własnych palców i w miarę potrzeby pisali o niej gołosłowne pochwały, improwizowane nagany lub błotne paszkwile. Zwłaszcza w ostatnich czasach „pozytywizm warszawski“ i „młoda prasa“ stały się przedmiotem dość częstych napaści i to z dwóch przeciwległych krańców duchowo społecznych. Nie mam zamiaru przeszkadzać amatorom w tych harcach, od

*) Drugie sprawozdanie zurichskiego, kantonalnego Towarzystwa dla podniesienia obyczajności publicznej. 1891—1897 r.

**) *Prawda* nr. 7

których zresztą żadne dowodzenie wcaleby ich nie odzwyczaiło. Chcę tylko przypomnieć, że owa tak dość zbagatelizowana chwilka w naszym rozwoju miała pewną, niezaprzeczoną właściwość, którą uwydatnić warto, mianowicie — w pobudki dążeń i czynów społeczeństwa wszczepiała idee. Czy te idee były słuszne, czy błędne — to pozostawimy na uboczu dla tych, którzy je widłami wyrzucać lub jako nawóz obecnego posiewu po polu roztrząsać będą. Dzielna, natchniona, aż do zupełnego wyrzeczenia się własnych korzyści bezinteresowna gromadka „pozytywistów warszawskich“ tak wznieconym prądem oczyściła powietrze swego czasu, że w niem dusze się rozrosły. Opanowała ludzi szczera i mocna ideologia, jednych postępowa, drugich — zachowawcza, ale wszyscy wspinali się na palcach i wyciągali szyje, ażeby wznieść głowy po nad przyziemny pas samolubczych zabiegów. Wtedy to mieliśmy ogromne ożywienie umysłowe: spierano się o zasady, wydawano książki naukowo posilne, rozchwytywano każdą, która przynosiła jakąś nową teoryę, społeczeństwo długim i wysokim skokiem przerzucało się o duży kawał drogi naprzód.

A dziś? Nie mówię o istotach, które kryją się w głębi morza, lecz o tych, które na jego powierzchni lub brzegu wygrzewają się w słońcu. Co śród nich widzimy? W ciągu mojego życia nie było pory bardziej zaplugawionej robactwem egoizmu. Niby demokratyzujemy się, a nigdy jeszcze nie wydano tylu herbarzów i „złotych ksiąg szlachty polskiej.“ Wyszedł lub wychodzi długi szereg dzieł tego rodzaju, a wszystkie wkrótce się wyczerpują; jednocześnie prasa zamieszcza ciągle opisy herbów i dzieje rodzin nobilitowanych. Wreszcie przeczytajcie „odpowiedzi“ redakcyjne w pismach peryodycznych—o czem one najczęściej mówią? O herbach. Na lirach naszej frazeologii brzmią hucznie struny: demokratyzmu, równości, miłości dla ludu, niechęci do przesądów kastowych itd., a jednocześnie struny też drżą tak czule tonami staroszlachetczyzny, jak przed dwoma wiekami. Kto tylko może przyczepić się najcieńszym włoskiem do jej gałęzi, kto tylko posiada między papierami rodzinnymi jakiś dowód lub bodaj w pamięci jakieś wspomnienie, ten biegnie do zarządu gubernialnego dla rozpoczęcia legitymacyi lub śle do dziennika zapytanie, co ma począć, ażeby uprawnić swój „klejnot.“ Redakcye muszą utrzymywać osobnych referentów, udzielających objaśnień heraldycznych. W dziesięciu rocznikach gazety z przed 30 laty nie znajduje się tyle tego materyału, co obecnie w jednym numerze. Wszystkie wątpliwe Ślepowrony, Ogończyki, Korczaki itd., obudzone z długiego snu, gdzieś w najodleglejszych zakątkach naszej ziemi, defilują w nieskończonej procesyi przez kolumny „odpowiedzi“ redakcyjnych. Zauważyliście niewątpliwie nagłe pomnożenie się nazwisk złożonych. Dawniejszy Poziomkiewicz lub Kartofliński zamienił się na Korczak-Zgrzebło-Poziomkiewicza lub Starża-Wylazło-Kartoflinskiego. Ci wiążą w jeden bukiet herby ojca i matki z przydomkiem obojga, tamci, nie mając rzeczywistych kwiatów rodzinnych, wyrabiają sobie sztuczne i kłamią niebywałe lub nigdy im nieprzynależne zlepki dziwacznych nazwisk. Popęd ten z warstw nałogowej próżności i obowiązkowego nierozumu przeniknął do sfer oświeconych, od których powinienby się odbijać, jak od skały: coraz częściej na tytułowych kartach książek spotykamy znaki *totemowe*.

Wiadomo, że w Warszawie wychodzi — podobno bardzo rozpowszechnione — pismo, zajmujące się rozsławianiem osób, rzeczy i zdarzeń, które nie mają żadnego prawa do uwagi publicznej. Opisuje ono zabawy i czyny, podaje portrety ludzi i fotografie domów prywatnych bez żadnej innej pobudki i intencyi, prócz dogodzenia ambicyi mianowanych przez nie na krótką chwilę bohaterów. Przed 30 laty pismo takie byłoby u nas niemożliwe, gdyż za zbyt obrażałoby poważny nastrój czasu. Niemożliwe byłyby również wszystkie życiorysy, nekrologi, wspomnienia pozgonne i wizerunki ludzi bardzo małego znaczenia, przenoszonych do nieśmiertelności przez całą niemal prasę warszawską, która zatarła zupełnie granicę między prywatną a publiczną dziedziną życia. Jeden z nakładców zapowiada wydanie opisu nabożeństwa żałobnego, odprawionego w Warszawie przed stu laty, na którem znajdował się „wszystek świat“ ówczesny, a więc także przodkowie wielu osób dziś żyjących, z tego względu zainteresowanych książką. I tylko z tego względu, bo po za nim nie będzie ona miała żadnej wartości, a nawet skądinąd wyskoczy z rytmu uczuciowego dni naszych.

Kawałek papieru zaczernionego farbą drukarską dla nadania rozgłosu jakiejś kruszynie życia, jakiejś istocie społecznie nieważkiej, o której nikt przedtem nie słyszał i nadal mógłby nie słyszeć — jest rzeczywiście stratą drobną. Cóż tak znowu mamy skąpić kilkunastu wierszy reklamy dla ś. p. Ildefonsa Przekrój-Selerowskiego w gotowej do takich usług gazecie? Od tego ani wielcy z piedestałów nie pospadają, ani mali na nich nie staną; ani republika mądrych nie upadnie, ani sułtanat głupich nie zapanuje. Ale te objawy, występujące bardzo licznie, są znamionami epoki, zdradzającemi jej zwrot od idei ku maluczkim celom osobistym. Innemi słowy: zniżyliśmy nasz lot górny do pełzania po ziemi. Przerwaliśmy spory naukowe, zaniechaliśmy pracy i walk na polu wiedzy, nie siejemy nowych a płodnych myśli, lecz wydobywamy nasze herby, legitymujemy się ze szlachectwa, kupujemy książki i prenumerujemy pisma, które biorą nas na słomki, jak krople mydlin i rozdymają w bańki kolorowe, żądamy od prasy i literatury, ażeby obsługiwały nas w najniższych potrzebach tak, jak dostawcy węgli do samowaru lub mleka.

Legenda, objaśniająca zagadkową treść obrazu M. Anioła w kaplicy Sykstyńskiej, opowiada, że artysta chciał w nim przedstawić Chrystusa sądzonego przez samolubów, z których każdy okazuje, czem dogadzał swej namiętności. Myśl bardzo głęboka i symbolizująca najwznioślejsze z dążeń ludzkich. Niestety, groźba tak odległego sądu po śmierci nikogo nie przeraża, a życie nie wyznacza nawet doczesnej kary na sobków, którym przeciwnie w tryumfalnym pochodzie ściele kwiaty pod nogi. Ale ci, co składają świadomość społeczeństwa, rozeznający wartość momentów jego żywota, powinni rzucać swój głos ostrzegawczy, ile razy ono wejdzie w okres podobny naszemu — w okres oprawiania całej ludzkości w ramy osobistego interesu jednostki. Zapewne, siły dokonywające przemian w rozwoju narodów, nie spoczywają wyłącznie w ich woli, ale i od niej również zależą. Więc wydając herbarze, wystawiając na pokaz publiczny legion zwykłych zjadaczów chleba i ściągając wszystko, co powinno stać wysoko, na pospolitą nizinę, powtarzajmy sobie: zmarnieliśmy, opuściliśmy podniebie i, szargając w błocie podwórza bezczynne lub wyłamane skrzydła, rozgrzebujemy z drobiem śmietniki i rozgdakujemy wrzaskliwie każde znalezione ziarnko lub glistę. Wyglądamy tak, jak gdybyśmy chcieli podzielić się całą przyszłością społeczeństwa i tymi działami nadsztukować swoje jednostkowe istnienia. Za dużo jest między nami takich, którzy sądzą, że ziemia ma obowiązek i zaszczyt niesienia ich na sobie, a za mało takich, którzy godzą się, że szkoda byłoby jej trudu, gdyby ona miała za główne zadanie obnosić ich po przestrzeni i pokazywać gwiazdom.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

F. Tönnies: *Tomasz Hobbes, życie jego i nauka.* Przełożyła z niemieckiego Ludwika Karpińska. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego.“

W przedmowie mówi autor, że zapomniano o filozofii Hobbesa, a do tego przyczyniło się uwielbienie dla Bacona, które powstało w Anglii i stamtąd rozpowszechniło się, głównie zaś ta okoliczność, że brak było dotąd właściwych badań na polu dziejów naszej filozofii. Zdaniem Tönniesa, Hobbes, wielostronny i radykalny krytyk pojęć przekazanych, w historyi rozwoju myśli naukowej z teologiczną i w jej walce z tą ostatnią odegrał ważną rolę. Jako uzupełnienie do swej pracy podaje on monografię G. C. Robertsona „Hobbes“ i najnowszy zarys filozofii Hobbesa przez Ed. Larsena, w języku duńskim.

Dość obszerną pracę swoją podzielił Tönnies na dwie części: w pierwszej daje wyczerpujący życiorys Hobbesa, druga zaś zawiera doskonałe streszczenie jego nauki. Życie Hobbesa, obejmujące przeszło 91 lat, rozpatruje w trzech rozdziałach. Przedstawiając wszystkie ważniejsze fakty, które, zdaniem jego, mogą się w jakikolwiek sposób przyczynić do lepszego wyjaśnienia doktryny Hobbesa, szczegółowo opisuje stosunki filozofa z rodziną Newcastle, z dworem, z rządem angielskim, wreszcie z wielkimi uczonymi owego czasu, oraz z przyjaciołmi. Stosunek z Mersennem, Descartes'em i Gassendim opisane są z takim talentem, że bezwątpienia przyczyniają się do lepszego zrozumienia tej części doktryny Hobbesa, która najwięcej dotychczas była ignorowaną, a mianowicie jego filozofii teoretycznej, a przeto w pewnej mierze do zrozumienia historycznego znaczenia filozofii Hobbesa. Z całego życiorysu oraz z podanej oddzielnie charakterystyki jego widzimy, że Hobbes całą duszą oddany był ruchowi naukowemu swego stulecia. Aczkolwiek w nauce znajdował on największe zadowolenie, czyli, jak sam się wyrażał, istotne szczęście, jednak nie był nigdy uczonym molem. Nie unikał rozrywek towarzyskich oraz przyjemności zmysłowych. Był wspaniałomyślny i litościwy, a tego właśnie nieprzyjaciele, zupełnie przewrotnie pojmujący jego doktrynę, nie mogli pogodzić z jego zasadami. Autor podaje przykład, trafnie fakt ten charakteryzujący. Pewnego razu, gdy na „wybrzeżu“ w Londynie dał Hobbes jałmużnę żebrakowi, domowy kapelan jego mecenasa zapytał: „Czybyście tak samo postąpili, gdyby Chrystus nie nakazywał miłosierdzia? — „Ależ rozumie się“ — odpowiedział. — „Czemuż to?“ — spytał tamten. — „Ponieważ przykro by mi było patrzeć na nędzę tego starca, jałmużna moja jemu przyniesie pewną ulgę, a mnie uwolni od tej przykrości.“

Aczkolwiek Hobbes stawiał wyżej filozofię *praktyczną*, a nawet przy zgłębianiu zasad nauk przyrodniczych chodziło mu tylko, jak widać z listu jego do Newcastle'a, o stosowanie tych zasad do „własności i namiętności duszy,“ atoli akcentował on zawsze myśl, że prawdziwi mędrcy szukają prawdy bez względu na jej pożytek, tj. na zastosowanie do spraw znanych i w życiu

koniecznych, często chlubił się, że filozofuje tylko *animi causa*, z upodobania do rzeczy. Cenił on o wiele wyżej mądrość, niż erudycyę i wyraził się, że gdyby był czytał tak dużo, jak inni ludzie, pozostałby tak samo ograniczonym, jak oni. Tönnies mówi, że Hobbes, który obracał się w najdostojniejszych towarzystwach, szanowany za wiedzę i rozum, podróżował i utrzymywał stosunki z ludźmi wszelkich stanowisk, przedstawiał typ nowożytnego literata w jego lepszem znaczeniu i piórem wywalczył sobie wpływ, jaki do XVI stulecia posiadali tylko pisarze teologiczni i to w kierunku przeciwnym. W końcu pierwszej części swej pracy podaje autor cytatę z dzieła Lorda Clarendona, będącego, nawiasem mówiąc, ostrą krytyką Hobbesowskiego „Leviathana.“

Lord Clarendon mówi tam między innemi, że Hobbes był człowiekiem obdarzonym wybitnemi zaletami, wielkim rozumem, który wyćwiczył czytaniem, a więcej jeszcze samodzielną pracą umysłową i wspomina, że jego przyjaciele skarżyli się zawsze, iż zbyt wiele czasu poświęcał rozmyślaniom, a zbyt mało spożytkowywaniu tych myśli w towarzystwie innych ludzi, wreszcie powiada, że on zawsze poważał go wysoko, jako człowieka, który prócz wybitnych zalet uczonego odznaczał się stale prawością charakteru i życiem wolnem od wszelkich zarzutów.

W drugiej części zarys nauki Hobbesa poprzedzony jest obszernym wstępem, w którym autor stara się wykazać historyczne znaczenie tego filozofa.

Ażeby zrozumieć jego filozofię — mówi on — należy ją rozpatrzeć w jej kontraście i zależności dziejowej, wskutek czego uważa za stosowne przedstawić naprzód rozwój myśli, który ją poprzedził i uwarunkował. Jeżeli porównać trzy stulecia, poprzedzające odkrycie nowego świata, z trzema po niem następującemi, to w obu epokach daje się zauważyć stanowczy przyrost wiedzy naukowej, przytem w drugiej wyraźne osłabienie i zanik *ducha religijnego*. W epoce wcześniejszej nie śmiano jeszcze sięgnąć po nowe zdobycze na mocy własnych dociekań, lecz zadawalano się poznawaniem i roztrząsaniem mądrości starożytnych Greków, przeważnie Arystotelesa, którego filozofię uprawiali też uczeni arabscy. Fizyka arystotelesowska prócz uduchowionego pojęcia „stwórcy“ wytworzyła pogląd na świat, wznoszący się na podstawach samorodnych pojęć ludowych, wspólnych zarówno Grekom, jak semitom i chrześcianom. W tej fizyce zapatrywaniom naturalnym stało się zadość przez rozważanie świata ze stanowiska *geometrycznego*; *animistyczny* pogląd na rzeczy dopasował się doskonale do wyobrażeń utartych, a mniemania teologiczne zachowały swe dostojeństwo dzięki *antropomorficznemu* tłomaczeniu spraw. Dalej autor przedstawia wszystkie charakterystyczne cechy tej filozofii i powiada, że jakkolwiek bywała ona niejednokrotnie napastowaną i nie uniknęła zmian, jakie z różnych stron do niej wtargnęły, jednakowoż ów okres (1260—1500) był dla niej czasem rozkwitu. Jej pojęcia zasadnicze ostały się w umysłach tych nawet, którzy pragnęli nadać jej inny kierunek; w interesie teologicznym oddziaływano przeważnie na korzyść wolności i wszechmocy Boga oraz wolności i samorzutności człowieka. Obok tej filozofii rozwinęła się w epoce następnej filozofia *nowa*, którą nazywano często reformowaną. Obydwa systemy, stary i nowy, wystąpiły do walki ze sobą i ku końcowi epoki system stary w części upadł, w części skostniał. Doniosłość tych walk filozoficznych zasadza się, zdaniem autora, na upadku poglądu chrześciańskiego na świat i życie i ukazaniu się nowego, który zamiast wiary tradycyjnej kładzie u podstawy wiedzę naukową i przez to samo przeciwstawia się wszystkim mniemaniom naturalnym i utartym. Dalej autor przedstawia charakterystyczne cechy tej nowej filozofii i wylicza wszystkie ważniejsze odkrycia w naukach przyrodniczych, które zburzyły stanowisko genetyczne oraz animistyczny pogląd na świat, którego wyrazem była fizyka arystotelesowska. W XVIII stuleciu filozofią nazywano przedewszystkiem przyrodoznawstwo, następnie poprostu naukę; jako taka w sposób konieczny obejmowała ona *logikę* i problematycznie przynajmniej *metafizykę*, przez co styczność z teologią była nieuniknioną. Nowsze „dzieje“ filozofii ograniczają prawie całkowicie jej pojęcie do tych napół-teologicznych i tamtych przedmiotów, mających właściwie charakter tylko propedeutyczny, przez co wypacza się znaczenie historyczne, jakie niektórzy myśliciele osiągnęli na polu nauki wogóle, a zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych. Dzieje nowszej filozofii są niezrozumiałe, jeżeli nie przyjmiemy zmian w astronomii scholastycznej, fizyce i fizyologii, których wynikiem są zagadnienia zwykle uważane za specyalnie filozoficzne. Zupełnie niesłusznie więc — zdaniem autora — wysunięto na czoło nowej filozofii Bacona i Descartes'a; pierwszy z nich w żadnym kierunku nie mógł mieć znaczenia epokowego, Descartes zaś ze stanowiska filozofii nowoczesnej był przedewszystkiem odnowicielem filozofii przyrody, właściwie więc działał w pierwszym kierunku. Obok niego mamy Hobbes'a, którego wpływ bezpośredni na fizykę był znacznie mniejszy. Obaj stoją na gruncie zmian, będących zasługą Kopernika i Kepplera, Galileusza i Hervey'a i chcą uogólnić bezgranicznie zasadę objaśniania za pomocą ruchu miejscowego, tj. tłomaczenia w sposób matematyczny. Obu chodzi głównie o zastosowanie nowej fizyki do nauki o człowieku; Descartes'owi więcej ze względu na filozofię i medycynę, Hobbes owi ze względu na psychologię i etykę.

Jeżeli historya filozofii ma głównie dotyczyć teoryi poznania — mówi dalej Tönnies — to Descartes i Hobbes zasługują na uwagę, jako wyraźni nowatorzy w tej dziedzinie, dzięki obaleniu *hypotezy antropomorficznej*, które było dla nich wynikiem mechaniki. Pod względem zasad, mających znaczenie epokowe, niema istotnej różnicy pomiędzy Descartes'em i Hobbes'em, chociaż ostatni poczytywał wszelkie stosowanie rozumu do treści, leżącej po za doświadczeniem, za próżne i niedorzeczne. W końcu tego rozdziału autor powiada, że Hobbes uważał siebie za najkonsekwentniejszego z pomiędzy burzycieli dawnych złudzeń, który tłomaczył system świata w sposób naturalny i wierzył, że według tych zasad uda się wykryć maszyneryę i pobudki, które poruszają, hamują i kierują ludźmi w ich życiu zbiorowem.

W następnych rozdziałach autor przedstawia dokładne streszczenie całej nauki Hobbesa. W pierwszych czterech mamy przed sobą rozbiór jego filozofii teoretycznej. Argumenty, którymi zwalcza się rzeczywistość przedmiotową jakości zmysłowych, podkreślają zarazem ową prawdę zasadniczą, że istnienie samych ciał jest nam dane li tylko, jako fakt psychiczny, i że wiedzy bezpośredniej innego rodzaju mieć nie możemy. Dzięki temu poznaniu — mówi autor — Descartes i Hobbes powracają na stanowisko, jakiego im potrzeba, by przeprowadzić twierdzenie, że świat materyalny po usunięciu dodatków podmiotowych nie posiada innych własności, prócz rozciągłości i ruchu. Zdaniem Tönniesa, całemu przyrodoznawstwu nowoczesnemu chodzi tylko o jedno: ażeby wszystkie zjawiska, o ile nie rozpatruje się ich ze strony psychicznej, ustosunkować do siebie, porównać, sprowadzić niejako do *jednego* mianownika, jakim jest najogólniejsze doświadczenie, tj. materya w ruch wprowadzona.

W rozdziale „Antropologia“ autor streszcza doktrynę Hobbesa o konieczności czynów ludzkich, czyli jak już wówczas nazywano, o wyznaczeniu woli, która stanowi punkt środkowy w rozważaniu człowieka. Dla Hobbesa determinizm jest prostą konsekwencyą zasady racyi, którą w charakterze prawa myślenia stosuje do wszystkich faktów przyrody. Tönnies przytacza polemikę Hobbesa z biskupem Bramhallem w kwestyi wolnej woli, która składała się z napaści biskupa, obrony Hobbesa, repliki i dupliki. Aczkolwiek autor przyznaje, że poglądy biskupa w tej kwestyi są bardzo płytkie i powierzchowne, nie mniej stwierdza on, że i Hobbes wykazał w tej sprawie pewną jednostronność, nie uwzględniając tego, że każda decyzya woli u człowieka wynika nietylko z warunków zewnętrznych, lecz także z jego własnej istoty empirycznej.

Pozostają jeszcze dwa rozdziały. W pierwszym z nich autor dokładnie streszcza naukę Hobbesa o prawie przyrodzonem. Hobbes uważa, że zadaniem prawa przyrodzonego jest położyć tamę wojnom i zatargom, a zwłaszcza zapobiedz zaburzeniom domowym, które wywołuje nieznajomość przyczyn wojny i pokoju. Autor przedstawia dalej pojęcie prawa, dane przez Hobbesa, jak również jego określenie wojny i pokoju, umowy, zgromadzenia, przedstawicielstwa itd. Wreszcie w ostatnim rozdziale przytacza zdania kilku wybitnych myślicieli o Hobbesie i w końcu wyraża nadzieję, że z łona metody krytycznej, rewolucyjnej i mechanicznej w zastosowaniu do metafizyki i psychologii, a jeszcze więcej do socyologii wynurzy się metoda pozytywna, syntetyczna i organiczna.

Do pracy swej dołącza Tönnies spis źródeł, z których korzystał. Książka jego sprawia wogóle bardzo dobre wrażenie i może się przyczynić do lepszego zrozumienia całej filozofii Hobbesa, jak również do wyjaśnienia jego roli w dziejach rozwoju myśli naukowej.

Przekład p. Karpińskiej staranny.

Jakób Lewkowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

Stanisław Wyspiański.

Akropolis, dramat w czterech aktach. Nakładem autora, Kraków. 1904.

Znowu najcharakterystyczniejszą cechą najnowszego dramatu Wyspiańskiego jest udramatyzowanie psychicznego życia grup i osobistości abstrakcyjnych. Znamienny to objaw w genetycznym rozwoju twórczości dramatycznej autora, uderzający ciągle faktem przewagi życia w grupach i niezindywidualizowanego myślenia; powtarzająca się ciągle skłonność do grupowania tych abstrakcyjnych lub też nieosobowych „dramatis personae“ i do uogólniania osobistości abstrakcyjnych, nawraca czytelnika do tragedyi greckiej z jej etycznym podkładem atawistycznej winy, z jej negatywną w ostatecznych rezultatach walką, z dyalogiem upostaciowanego zgrzytu i bólu, z jej wszystko druzgocącą tragedyą — z konieczności. Duch wiecznej tęsknoty, niespodziewanych choć pewnych, koniecznych i oczekiwanych kataklizmów, ciągłe darcie się raz zszeregowanych myśli i splotów skojarzeń; całe

grupy uczuć radości, w chwili się rodzące i zamierające w tej samej chwili, wieczna ofiara ducha, składana na trumiennym ołtarzu razem z radością konającej pieśni, wyroki bezlitosnego fatum i koniecznych praw biegu historyi — są obok powtarzających się obrazów życia zbiorowego i indywidualnego, z dziejami ich wzajemnej zgody i walki — głównym rysem psychologii Wyspiańskiego: „Meleager,“ „Protesilas i Laodamia,“ „Klątwa,“ „Warszawianka,“ „Wesele,“ „Wyzwolenie,“ „Bolesław Śmiały,“ „Achilleis“ i ostatecznie „Akropolis“ — oto jeden ciąg dziejów tych wszystkich, co „u ołtarza trumny śpiewali pieśni, co poszli i na kościele ostawili dymu powłoczną chmurę,“ co skronie i duszę skrwawili w niemilknącej walce o zwycięztwo wolności, ducha, pieśni — by po zgonie z martwych powstać i ożyć i uderzyć w dzwon, ofiarę ducha spełnić — tajemnicę, i z głazów przełęczy noc wyprzeć i ciemność.

Lecz odeszli, i znowu — dymu snują się obręcze na ołtarzu trumny. A oto w noc rezurekcyjną powtórzy się chwila, kiedy za odwiecznym wyrokiem przetworzą się duchy — „na ołtarzu trumny,“ na Wawelu...

W akcie pierwszym, z chwilą ozwania się północy z wieży, — aniołowie, co dźwigali straszydło — boże, trumnę, zdejmują z bark jarzmo, umacniają go na ołtarzu i stułę rozwiązują, by ożyć. Z pomnika Ankwicza schodzi niewiasta, w której zaklęto płacz i którą w jej płaczu i smutku świętą uznano i schodzi z tego pomnika Amor, przez Apollina zaklęty; schodzi Pani z pomnika Skotnickiego, która w życiu wyrosła w smutku i bólu na szczęścia swojego grobie; z kaplicy Jagiellonów wchodzi Tempus, by zatrzymać bieg rzeczy na tę chwilę jedyną, zdolną wiele uleczyć ran starych; zstępują Panna i Klio z monumentu Sołtyka, schodzą w zadumie — a z okrzykiem „na bój“ budzi się ze snu Włodzimierz Potocki. Exposé dramatu — cały akt pierwszy, zdobny w tak subtelną psychologię i piękno dyalogu, jakich Wyspiański w żadnym dramacie nie ma. To kolejne, wzajemne budzenie się do życia ze snu otrząsających się postaci, budzenie się z temi samemi uczuciami z jakiemi posnęły, z tym samym celem i z tą samą grozą strachu, z jaką zostały zaklęte w marmurowe kształty pamiątek; momentalny brak oryentacyi, niepewność i beznadziejna rezygnacya i odtrącanie celu psychicznego rozwiązania, a potem chwila skojarzeń uczuć, lekkie, jeszcze niczem nieusprawiedliwione wiązanki drgnień radości, może dla samego przebudzenia się — nadziei; powrót starej tęsknicy, żalu i negacyi z jednej a nagłego wybuchu pozytywnej siły twórczej, pewności i rozumienia biegu rzeczy z drugiej strony - stanowią psychologię przedzgonnej chwili nawrotnego życia. Dreszcz życia ustanie rychło, ze świtem marmur odzyska swe kształty...

Dramatis personae występuje w akcie drugim i trzecim. Akt drugi, najlepszy w dramacie pod względem zwięzłości budowy i psychologii osób, odbija świat trojański. Jest na Wawelu gobelin, przedstawiający kartę z dziejów Troi — treść gobelinu, to całość czynu tej części „Akropolis.“ W chwili więc zmartwychwstania i gobelin odżywa — a przed oczyma widza stają Pryam, Hektor z całem swojem otoczeniem, z swoją beznadziejnością i piętnem nieuchronej śmierci na czole. Więc Hektor z swą wieczną męką ducha i jasnem widzeniem swej bliskiej zagłady, ale równocześnie i nieśmiertelności i czystości swego ducha i sumienia; z tem samem widzeniem ostatecznego kresu Kassandra; wieszący i obliczający przyszłość Pryam i Parys z Heleną, w swej miłości zupełnie zdziecinniali. „Achilleis“ ma w tym akcie znakomite dopełnienie i zaokrąglenie wyrazistości charakterów bohaterów trojańskich. Niektóre sceny, np. trzecia i czwarta, obie odgrywające się między Hektorem, Pryamem i Hekubą, a zwłaszcza piąta (monologi i chóry zegarów wieżowych, wieszczenie Kassandry i jej rozmowa ze stadem kruków, pożegnanie Hektora z Andromaką), stanąć mogą obok najpiękniejszych scen literatury światowej.

Akt trzeci to również gobelinowa „Historia Jacobi.“ Prawie cały akt jest *odpisany* — naturalnie w dyalogach z „Pisma Świętego.“ (Scena 1, do słów Rebeki. „com rzekła,“ scena 3 i 5 w drobnych częściach, scena 7 w całości, scena 8, od słów Rebeki: „oto Ezaw“ przez cały dyalog do słów: „...żyć nie chcę“; scena 9, od słów: „nie pojmuj żony...“ do „dziadowi twemu...“ itd.).

Sceny końcowe dowolnie przerabiane, tkają psychologię walki między Izaakiem i Jakóbem, walkę dusz tych ludzi, zupełnie sobie równych, walkę przez nich niepostanowioną a konieczną i nieuniknioną nie z ich winy. O zmazanie winy, odzyskanie spokoju, o duszy dawną czystość i błogosławieństwo walczy Jakób z Aniołem, ulega, i ze świtem, jak wszyscy, na zbrodnie, na nowe czyny przez długie wieki pójdzie walczący, w bólu na byt straszny nieśmiertelny — na konieczność bólu.

Akt czwarty jest jakby dalszym ciągiem akcyi aktu pierwszego. Ze szczytów organów spływa na dolę bytu ziemskiego Król-Harfiarz, Dawid, którego przeznaczeniem Bogu „chóralne nucić granie.“ Więc on, król i monarcha, śpiewa psalmodyum, a w ciągu śpiewania walka Nocy z Aurorą... blizki świt. U wielkich podwoi schodzą się mnogie rzesze narodu, oczekujące Zmartwychwstania Tego, przed którym kościół w gruzy padnie na głowy ludu — lud „we trzech dniach za wielkiem wołaniem przewinień dawnych grzechów, czysty, niepomny niewoli, w byt nieśmiertelny, wiekuisty, z pod gruzów wstanie.“ Uderza grom — ze szczytu ołtarza wielkiego brzmi głos Salwatora: „Jam jest, Siła, Moc!“ na widownię od strony ołtarza Świętego Stanisława wjeżdża na złocistym rydwanie bóg słońca: Apollo!... Zabrzęczał dzwon Zygmuntowski — trąby huczą po przestworzu „jak ongi na tych polach; jakby już Polska wszystka wstała, hej, w dawnych swoich rolach. I pieśń nad ludem szła nad ziemią, nad Polską ziemią krwawą, nad Akropolis, kędy drzemią — Królowie i ich prawo.“

Tu kończy się czyn całego dramatu. Wyodrębnione uczucia postaci, ich osobista miłość, bóle, przyjemności, zgrzyty, dreszcze i płacze, stanowią w „Akropolis“ ciągłą tkankę psychologicznego kontrastowania indywiduów i grup całych, zdzieranych do życia z martwych pomników pamiątek Wawelu—Akropolis osnuwanego w sieć pajęczą przez cały ciąg dramatu stuleci, zgrupowanego w jeden moment zmartwychwstającej siły. Historycznie różne kategorye ludzi, wciągniętych pod jeden kres psychicznej i psychologicznej analizy o jednym i tym samym czynniku estetycznego wartościowania postaci osobowych i abstrakcyjnych oraz większych grup, z ich negacyą czynu i syntezą pozytywnych jego pierwiastków; sploty asocyacyjne osób tworzących, tkwiące w *współczesności* i sprowadzające możliwie największy sojusz między sceną i amfiteatrem — oblane zorzą Świtu, więc zbiorowej nadziei wyczekiwania, niepokoju trwogi, smutku i żalu, tęsknoty i rezygnacyi — są dalszymi węzłami, utrzymującymi luźnie napozór zestawione akty w ściśle powiązanej dramatycznej całości.

Moment oczekiwania zmartwychwstającej Mocy i uświadomiona pewność blizkiej chwili zgonu ze świtem tych wszystkich, którym wstać wolno z trumny w godzinę rezurekcyjną, wprowadza już z góry możliwie największą intensywność i ekspresyę uczuć łączących. się w dramacie osób. To napięcie utrzymujące czytelnika i widza w jak najściślejszej łączności z autorem i postaciami dramatu, jest jedną z największych zalet utworu, zbudowanego w swych *żywych formach* przez powołanie do życia osobników martwych z psychologią ludzi żyjących — bez historycznych cech postępu.

* * *

Dla braku miejsca poprzestajemy na razie na tej krótkiej recenzyi — dokładne omówienie dramatu damy gdzieindziej.

Edmund Weisberg.

NOWE KSIĄŻKI.

— Antoni Potocki: **Szkice i wrażenia literackie.** Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

Książka p. Potockiego, traktująca o Sienkiewiczu, Reymoncie, Dąbrowskim, Żeromskim, Sieroszewskim, Tetmajerze, Kasprowiczu i innych, zawiera wiele trafnych spostrzeżeń i uogólnień, a przytem napisana jest żywo, barwnie i miejscami bardzo dowcipnie.

Zarzuciłbym tylko autorowi jedno: brak własnego, stałego kąta widzenia.

Szczególną chwiejność sądu zdradza artykuł o Sienkiewiczu. Ażeby umotywować ten zarzut, dość jest przytoczyć i zestawić dwie następujące cytaty:

„Przychodzi mi swawolna myśl — pisze autor— że gdybym tak teraz, w tej chwili, mógł uściskać Sienkiewicza, to nawet gotówbym skwitować z artykułu. Czuję oto poprostu, że on, *ta kochana głowa*, jest jakiś *ogromnie miły* i taki *bardzo mój*.“

Dalej zaś znajdujemy taką uwagę:

„W artykule swoim o Zoli pisze Sienkiewicz o literaturze szukających, że widać w niej „niepokój ogromny,“ i że ludzie w tym niepokoju „wyjścia nie znajdują, bo do tego potrzeba wielkiej idei,“ — Nie pytamy go, czy znalazł sam tę wielką ideę, bo na to sami sobie odpowiadamy, że nie; ale czy sam on naprawdę wierzy, że ją znalazł. Trzy moralne powieści („Bez dogmatu,“ „Rodzina Połanieckich“ i „Quo Vadis“) o tem nas nie przekonały i, jeżeli one uśmierzyły w nim ów niepokój ogromny, to — *to mu nawet nie zazdrościmy.*“

Tyle autor artykułu; nam na usta ciśnie się tylko dyskretne pytanie: czy niema tu czasami lekkiego kompromisu? Panu Bogu świeczkę — ale i dyabłu ożóg.

Wolimy p. Potockiego w artykule o „Czującem widzeniu“ Żeromskiego lub w satyrycznym szkicu o „Marku i Ninetce.“ *L. R.*

— Czesław Jankowski: **Młoda Polska w pieśni.** Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Wydanie drugie.

Materyału bardzo dużo — aż 430 stronic, ale mogłoby go być daleko mniej—bez szkody dla antologii. Takie „poezye,“ jak Władysława Belzy, Antoniego Piłeckiego, Józefa Korwina - Kuczyńskiego, Józefa Jankowskiego i wielu, wielu innych — to tylko balast zbyteczny szablonów bardzo wytartych i rymów aż nadto zużytych.

Zato nie znajdujemy tu nazwisk takich, jak np. Stanisława Brzozowskiego, Kazimiery Zawistowskiej, Tadeusza Micińskiego, Władysława Orkana. Ci zaś z istotnie „młodych,“ którzy znaleźli w książce łaskawe uwzględnienie, reprezentowani są tak marnie, że o takim np. Kasprowiczu z umieszczonych tu urywków niepodobna powziąć słabego nawet wyobrażenia.

Wogóle z uwagi na przeważający charakter zebranych w antologii poezyj, należałoby je nazwać nie „młodą,“ ale dobrze już „podtatusiałą“ Polską.

Autor, właściwie układacz książki, o ile nam się zdaje, jest stanowczym przeciwnikiem wszelkich nowych kierunków w literaturze

i lubuje się przeważnie w tak zwanej „zdrowej“ poezyi.

Unika on starannie wszelkiego „dreszczu,“ „nastroju“ i tym podobnych niedorzeczności, które budzą tylko niepotrzebny niepokój — i jeszcze, broń Boże, spać czytelnikowi nie dadzą.

Dlatego też po przeczytaniu antologii śpi się zupełnie spokojnie.

Ale „serce, co się tchem wieku zapala,“ iskry tu dla siebie nie znajdzie. *L. R.*

— Edward Słoński: **Okruchy**. Wilno, Rok MCMIV.

Poezye te mówią o swem pochodzeniu z abstrakcyjnego myślenia. Niema tu artystycznych obrazów zrodzonych z fantazyi. „Gdy odejdę, to nikt nie da wiary — że sny miałem wielkie“ — mówi autor w prologu. „Nikt nie da wiary, bo „sny“ owe nie uzewnętrzniły się dla świata w postaci natchnionego dzieła sztuki; „Okruchy“ nie dają artystycznego wzruszenia, pomimo gładkości zewnętrznej, są zimne i zimno trzeźwe.

— Marya Kazecka: **Kędy milczy słońce**... Lwów, 1903.

Zbiorek wierszy dość ładnie zbudowanych. W formie niema pozy zimnej i nudnego wysiłku. W treści—szczere, lecz nieco konwencyonalne umiłowanie pomysłów artystycznych najnowszego okresu. Niema tu przejawu silnej, samodzielnej organizacyi twórczej, niema też fabrykowania i robienia. Znać, że autorka czuje szczerze, lecz zbyt jest pod wrażeniem faktów artystycznych, przychodzących do niej z zewnątrz i nie znalazła jeszcze własnej treści. Obecne jej wiersze mówią o pewnej wrażliwości, pewnych usiłowaniach technicznych; przyszłość pokaże, czy się z nich wyłoni nowe, twórcze słowo. *zb.*

POEZYE

*

Gdy byłem czysty — marzyłem, że z nieba,
Gdzie tęsknią cudnych źrenic ametysty,
Na serce szczęsne przylecą gdy trzeba —
Dwie takie gwiazdy... Wierzyłem, że z nieba,
Gdy byłem czysty.

Dziś wiem, że wszystkim sercom kochać trzeba,
A łona kobiet są jak łan ciernisty.
Gdzie żądza szuka powszedniego chleba.
I nawet żal mi, żem śnił oczy z nieba,
Gdy byłem czysty.

Mamert Wikszemski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Powrotna fala.

Szybki wzrost miast wielkich, a gorączkowy niemal największych, które do najdalszych krańców wywierając swój czar przyciągający, tak się w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci rozwinęły, że obecnie w Niemczech np., co szósty człowiek mieszka już w mieście, mającem powyżej 100,000 mieszkańców, trwogą przejmować już począł miłośników wsi, zdrowych lic i tych wszystkich rozkoszy, które się krótko mianem wiejskiego życia obejmuje. Opierając się na statystycznych danych, stwierdzających szybkość procentowej przemiany ludności wiejskiej w miejską, starano się już nawet odgadnąć dla Europy środkowej chwilę zupełnego wyludnienia gmin wiejskich na korzyść wielkich skupień o charakterze miejskim i przemysłowym.

Podczas gdy kapitał, występując w młodocianych swych latach w skromnej roli „nakładcy,“ odbiorcy pracy chałupniczej, odszukiwał ludzi w ich domostwach i nie wywoływał zmian w gęstości osiedlenia, nowoczesna technika uczyniła z nie- W rodzica nowoczesnych miast wielkich. go ślad za maszyną, która z wiejskiej chaty wyrugowała niejedno zajęcie, skupiając pracującą ludność w olbrzymich warsztatach, podąża do miasta i pozbawiony ubocznego zarobku małorolny wieśniak, stosując się tutaj do nowego trybu życia.

Do przyczyn, które wywołały wzrost miast *) i których działanie w pełni zdaje się trwać dalej, przyłączył się fakt nowy, mogący wpływ ich spotęgować i wzmocnić: rozwielmożenie się maszyny w gospodarce wiejskiej. Opuszczeni przez pracowników gospodarze uczą się zrywać z tradycyą, zastępować siłę ludzką motorem, a przystosowując się do nowych warunków, tracą równocześnie potrzebę walki z powabem miasta, wysokich płac, wolności, rozrywek. Rozwój produkcyi fabrycznej, maszyny rolnicze, konkurencya zboża amerykańskiego — oto zdawałoby się zerwanie ostatnich pęt, wstrzymujących ludnościowe fale od ostatecznego wpłynięcia w wielkie zbiorniki stolic, wsiąknięcia w wir miejskiego, przemysłowego życia.

Ale ten sam rozwój techniki, który stworzył maszynę parową, przerzucającą ludność pracującą z chat wiejskich do miast, w dalszym swym rozwoju nauczył w przemyśle posługiwać się elektrycznością, a do jej wytwarzania używać siły prądów wodnych. Teraz więc znowu praca wytwórcza powrócić może na wieś, zwłaszcza w góry, ku rwącym potokom.

Ten nowy zwrot w technice przemysłowej stanowczo już ujawnił się w Niemczech, Szwajcaryi, we Włoszech północnych i wschodniej Francyi. Według urzędowej statystyki w ostaniem dziesięcioleciu do istniejących już 8,960 zakładów przemysłowych, wyzyskujących siłę prądów wodnych, przybyło we Francyi 60 przeszło nowych, o sile 250,000 koni parowych, tj. przeciętnie 4,000 na jeden zakład. W parlamencie francuskim 1 czerwca 1900 r. Loubet, Baudin i Dupuy wnieśli projekt ustawy, zastrzegającej dla państwa wyłączne prawo udzielania zezwolenia na wyzyskiwanie siły wodnej zakładom, potrzebującym powyżej 100 sił koni parowych. Projekt ten dla swych „wywłaszczających“ tendencyj spotkał się z bardzo ostrą krytyką, lecz w każdym razie jest on oczywistym dowodem, że możność umiejętnego wyzyskiwania sił wodnych zaznacza się już wyraźnie w przemyśle wielkim.

A przytem, choć rozwój techniki zniszczył tu i owdzie domowy przemysł wiejski, zamieniając chałupniczych tkaczy i przędzarzy w miejskich robotników fabrycznych wprowadził jednak do chat chłopskich wiele zajęć nowych, dobrze płatnych i powstrzymujących mieszkańców wsi od ucieczki za chlebem do miasta. Przytoczyć tu można np. wyrób grzebieni szyldkretowych w francuskich Jura, szlifowanie dyamentów w Oyonax, wyrób drewnianych fajek w okolicy St. Claude, o którym Kropotkine opowiada**): „W St. Claude rozwinęły się świetnie, wyzyskujące siłę wody małe warsztaty. Przeszło 4,000 ludzi, mężczyzn i kobiet znajduje tu całe utrzymanie, a oprócz tego spora ilość ludzi dorywcze zajęcie. Mnóstwo drobniutkich warsztatów rozłożyło się tuż nad rzeczką... Są one miejscem wyrobu rozlicznych przedmiotów z drzewa: oprócz fajek wyrabia się tu pudełka, różańce, wykluwacze; sam wyrób sztab metrowych, które się rozchodzą po wszystkich rynkach świata, zatrudnia przeszło 1,200 pracujących. Równocześnie tysiące ludzi zamieszkałych w St. Claude ma zajęcie w okolicznych, górskich wioskach, w szlifierniach dyamentów i innych drogich kamieni. A praca odbywa się też w małych warsztatach, wyzyskujących siłę wodną. Łodziarstwo — dookoła jest wiele jezior, które w zimie zamarzają, — i przygotowanie łupiny dębowej dla garbarzy uzupełnia obraz pracy tych wiosek, w których przemysł i rolnictwo łączą się bratersko, a nowa technika i maszyna stoją na usługi drobnej produkcyi.“

Lecz nie należy zapominać, że znaczny rozwój przemysłowej wytwórczości na wsi ściśle jest związany z warunkami geograficznymi. Możność taniego wytwarzania elektryczności, zawarunkowana rzekami, rozprowadzenie sił motorycznych po małych warsztatach, które pozwala i tutaj posługiwać się nowszą, wydajniejszą techniką, może z drobnego przemysłu uczynić nowe źródło utrzymania dla mieszkańców wiosek. Gdzie tych warunków niema, drobny przemysł wiejski zanika i ginie, lub też utrzymuje się wskutek ogromnie nizkich zarobków, braku odporności wobec wyzysku w postaci długiego dnia roboczego itd., jest zatem także formą pracy, od której ludność ratuje się — ucieczką do miasta.

Obok takich gałęzi przemysłu, które nigdy z chat chłopskich nie wyszły, współzawodniczące z wydajnością nowoczesnej techniki, tanością sił roboczych, obok innych, które nowoczesną technikę przystosować chcą do pracy chałupniczej, spotykamy na wsi teraz już i przedsiebiorstwa, usiłujące połączyć korzyści kapitalistycznej produkcyi na wielką skalę i techniki maszynowej z korzyściami, jakie daje tania siła robocza i nizka renta gruntowa. Po wielu latach miejskiego życia powrotna fala przywozi je na wieś. Przenosiny te rozpoczynają się z chwilą, gdy siła robocza staje się w kształtowaniu cen czynnikiem ważniejszym, niż koszta transportu. W Manchester np. istnieje dziś już niewiele przędzalń i tkalń. Z początku przenoszono je do Stockford (koło Manchester'u), zniżając znacznie zarobki robotnicze, a gdy Stockford urósł w większą osadę fabryczną, fabryki powędrowały dalej na wieś.

Schmoller wykazuje taki sam ruch decentralizacyjny w Niemczech i w Anglii w rozmaitych gałęziach przemysłu. Rozwój środków komunikacyjnych oraz stanienie transportu umożliwia największe nawet oddalenie miejsca wytwarzania od miejsca spożycia, jeśli tylko przez to osiągnąć się daje zmniejszenie kosztów produkcyi lub ulepszenie jakości wyrobów. Im więcej taryfa kolejowa zbliża się ku temu ujednostajnieniu i tej taniości, która jest już osiągnięta w taryfach pocztowych, tem mniejszą rolę odgrywać będzie blizkość miejsca zbytu w produkcyi przemysłowej. „Jeśli kiedy taka ujednostajniona taryfa przyjdzie do skutku“ — powiada Weber *) „wpływ jej zaznaczy się przedewszystkiem ogromną decentralizacyą przemysłu. Wielkie miasto nie będzie nadal przedstawiało ze względu na szybkość zbytu lepszych warunków dla produkcyi, niż wieś lub miasteczko. Szybkość i taniość transportu znosi oddalenie między wytwarzaniem a spożyciem.“ Ze względu zaś na wszystkie inne warunki nie przedstawiają teraz już wielkie skupienia miejskie żadnych prawie korzyści dla produkcyi, a wysoka renta gruntowa podwyższa inwestycye a z nimi i koszta prowadzenia przedsiebiorstwa. Kupno i sprzedaż, łatwość zdobycia kredytu i pieniędzy, które długo przykuwały przedsiebiorstwa do wielkich ognisk życia

*) Zob. „Wielkie miasta,“ *Prawda* z r. 1903, numery 32 i 33.

**) Przytoczone u Vandervelde'go: „Rückkehr auf das Land.“ Archiv für soc. Ges. u. Verwaltung 1903.

*) „The growth of cities. str. 205.

gospodarczego, mogą być doskonale załatwiane przez biuro, obejmujące kupiecką stronę interesu. Fabryka, część techniczna, może znajdować się gdzieindziej — telefon związek ułatwi.

Małe miejscowości zapewniają przedsiębiorstwom korzyści, płynące z taniej renty gruntowej, niższych płac roboczych, gdzieniegdzie i z niższych ciężarów podatkowych — nic więc dziwnego, że w wielu gałęziach przemysłu zauważyć się daje dążność do opuszczenia miejskich murów. Te przenosiny nietylko kładą częściową tamę dalszemu upływowi ludności wiejskiej, ale powodują nawet bądźto chwilowy, bądź trwały przypływ ludności miejskiej na wieś. Razem z przedsiębiorstwem wędruje mniejszy lub większy zastęp fachowo wykształconych robotników, którzy ludność miejscową zaprawiają do nowej pracy, lub też przynoszą z sobą tę sumę wiadomości i zręczności, jakie tylko szkoły fachowe udzielić mogą. Ta część pracowników stale przypływem z miasta odnawiać się musi.

(D. n.) *H. G.*

NA MARGINESIE

Elektryczność w mleczarstwie została niedawno zastosowana przez M. V. Hugot, posiadającego folwark nad Sekwaną i duże gospodarstwo mleczne. W jego oborach, gdzie stoi od 100 do 200 krów, słomy na podściółkę nie używa się wcale, krowy leżą na suchym piasku, co jest i oszczędniej i hygieniczniej. Żłoby wszędzie kamienne, podłoga pochyła, żeby łatwiej było utrzymać czystość, wszystko skanalizowane. Lecz najciekawszą istotę tego urządzenia postępowego stanowi aparat do dojenia krów, który jest najzwyczajniejszą pompą, poruszaną siłą elektryczną. Ta siła styka się z wymieniem za pośrednictwem rur ułożonych na ścianie obory nad łbem krowy i połączonych z wężem, zakończonym czterema filiżankami kauczukowemi, nakładanemi na dójki. Puszczona w ruch maszyna wywołuje ściskanie i rozszerzanie się gutaperki, zupełnie naśladujące ssanie cielęcia, które można regulować dowolnie. Mleko w ten sposób wydojone i zebrane w naczynia, zabezpieczone jest najzupełniej nietylko od zetknięcia z rękami ludzkiemi, lecz i z powietrzem. Krowy wolą być dojone przez elektryczność, niż przez ludzi — przytem, jak wielokrotne próby stwierdziły, oddają daleko więcej mleka.

Wytępienie owadów, niepotrzebnych człowiekowi, a nadewszystko szkodliwych, przedstawia się, jako rzecz możliwa wobec tego, że prof. Ross uzdrowotnił prawie całkowicie Izmailę w Egipcie, gdzie na 9,000 mieszkańców 2,000 rocznie zapadało na malaryę; dziś podobno stosunek ten spadł do 200 i to przeważnie recydyw. Prof. Ross dokonał tego dzieła, wytępiwszy niemal zupełnie moskity przez osuszenie mokradeł, w których komary się plenily i zalewanie wody naftą. Koszt jednorazowy uzdrowotnienia wyniósł 4,400 funtów sterlingów, utrzymanie zaś osiągniętych rezultatów wymagać będzie 700 funt. ster. rocznego wydatku. Przykład Izmaiły może posłużyć za wskazówkę dla wszystkich miejscowości dotkniętych tą plagą. Niektórym fakt ten nasunął myśl wytępienia wszystkich owadów szkodliwych dla świata tak zwierzęcego, jak roślinnego i zwołania w celu obmyślenia środków do walki olbrzymiego kongresu międzynarodowego.

Cień akustyczny. Lord Raleigh zauważył, że gaz, wydobywający się przez maleńki otwór, pod bardzo silnem ciśnieniem, zapalony, okazuje pewną wrażliwość na dźwięk: mianowicie płonie jaskrawo i migotliwie. Płomień ten utrzymuje się dopóki trwa brzmienie głosu, z chwilą jego ucichnięcia staje się spokojny i równy. Najsłabszy dźwięk wywołuje ten sam objaw. Jeśli pomiędzy przedmiotem wydającym głos a płomieniem umieścić przegrodę, ten ostatni przestaje migotać. Raleigh nazywa to cieniem rzuconym, przez dźwięk.

KRONIKA.

Konklawe ziemiańskie. Folwarcznicy z gub. Warszawskiej dokonali wyboru nowych radców tradycyjnym sposobem, przypominającym nieco zwyczaje watykańskie. Wysłuchawszy mszy, odprawionej „na intencyę wyborów,“ oświeceni przeto należycie, powołali do komitetu p. S. Dzierzbickiego, do Dyrekcyi Głównej — p. M. Kiniorskiego, do Szczegółowej — p. Laszcza i p. R. Higersbergera. Na zebraniu wstępnem odbyła się maleńka dyskusya, z której najważniejszem jest stwierdzenie faktu, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia rozparcelowano 1,300 majątków. Naturalnie wszystkie one przeszły do chłopów polskich, którzy jak najczulsi synowie dobrą matkę, tak oni kochają swoją rodzinną ziemię, nie frymarczą nią i nie wydziedziczają z niej swojego społeczeństwa. Rozumie się, niejedna pierś szlachecka westchnęła przy tem „obniżeniu się naszej kultury“ skutkiem zniknięcia dworów, ale na ten smutek nie mamy lekarstwa: wymyśleć bowiem taką radę, którąby pozwalała posiadaczom większej własności sprzedawać ziemię i zachowywać ją — niepodobna.

Jeszcze wąż morski. Trzeci most na Wiśle, który stał się rodzajem węża morskiego, wypłynął znowu na wierzch pod postacią dwóch projektów fabryki Rudzkiego i znowu wyznaczona została dla nich komisya. Jest to dosyć wesoła zabawa. Zamiast — jak to nieroztropni ludzie czynią wszędzie — ogłosić konkurs na projekty i odrazu wybrać z nich najlepszy, Magistrat warszawski przyjmuje coraz nowe i nad każdym obraduje osobno. Kiedy się to skończy — nie wiadomo, bo nie wiadomo, czy fabryka Rudzkiego nie przedstawi jeszcze dziesięciu pomysłów i czy inni inżynierowie nie nadeślą swoich. Że Warszawa dusi się w jednym moście od lat wielu i że drugi jest sprawą naglącą — to rzecz drobna. Główna — beztermino wa licytacya rozmaitych geszefciarzy, którzy „potrzebują żyć i zarobić,“ a taki gruby kęs nieczęsto im się zdarza, więc naturalnie walczą o niego zawzięcie, odwlekając zakończenie sprawy. Ale przecie Magistrat może położyć koniec tej walce.

Słuszna apostrofa. *Warsz. Dziennik* z powodu olbrzymiego pożaru w petersburskim składzie wyrobów celuloidowych, poddaje przy tej sposobności krytyce warszawską straż ogniową. Tkwi ona, według niego, w rutynie. Gasząc pożar, trzyma się starej metody niszczenia ruchomości i wyrąbywania części budynku, zalewając wszystko wodą, która nieraz czyni większe szkody, niż ogień. Nie ma przytem nowoczesnych narzędzi ratunkowych i ochronnych, jest starym gratem, który domaga się odnowienia. A jednakże ta straż warszawska była kiedyś sławną w Europie i tak dzielną, że podobno Franciszek Józef, widząc jej popis, powiedział: „Sprawiłbym sobie taką samą, gdybym znalazł tylu głupich ludzi, którzyby równie narażali swe życie.“ Odwaga pozostała, ale starą bronią zwyciężać nie może.

Wiadomości społeczne. Ogłoszono rozporządzenie władz wyższych o urządzeniu opieki nad rodzinami szeregowców, którzy zostali powołani do służby czynnej, lub którzy następnie powołani będą, jak również tych, którzy zostali zabici w czasie obecnej wojny, lub przepadli bez wieści. — Opieka ta ma polegać na dostarczaniu pozostałym rodzinom, nie wyłączając starych ojców i matek, środków do utrzymania. Wedle istniejących w tej mierze przepisów, środków tych dostarczyć winny gminy i miasta, w których są zapisani powołani do wojska.

— Ministerya skarbu, rolnictwa i dóbr państwa rozesłały do inspektorów fabrycznych oraz inżynierów górniczych przepisy normalne dla zawierania umów pomiędzy przedsiębiorstwami przemysłowemi w sprawie ubezpieczenia robotników i oficyalistów od wypadków nieszczęśliwych. Przepisy te polecono wydrukować i rozesłać do wszystkich zakładów przemysłowych i górniczych.

— W Czarnkowie, w W. Ks. Poznańskiem, skazany został na tydzień aresztu majster stolarski, Jur, za to, że urzędnika pocztowego, który nie chciał przyjąć listu z adresem polskim, obraził życzeniem: aby otrzymał „Ostmarkenzulage.“

— W Paryżu z inicyatywy adwokata angielskiego, Tomasza Barcleya, zorganizowana została liga antywojenna. Celem ligi jest wydawanie broszur przeciw wojnie, zwoływanie zgromadzeń i oddziaływanie przez prasę na opinię publiczną. Najwybitniejsze domy handlowe w Anglii, Francyi i Niemczech oświadczyły gotowość płacenia na rzecz ligi składek, które już dochodzą do 120,000 fr. (*Gaz. Pols.*).

Szkoły i wychowanie. W *Warsz. Dn.* czytamy: „Kurator okręgu naukowego, warszawskiego podczas zwiedzania szkół zarówno w czasie zwykłym, jako też z okazyi różnego rodzaju uroczystości, zauważył niejednokrotnie śród młodzieży brak należytego porządku i niezachowanie zasadniczych przepisów przyzwoitości: uczniowie nie umieją zachować się przyzwoicie przy wywoływaniu ich do lekcyi, nie ustępują z drogi starszym, nie kłaniają się, wbrew przepisom, przedstawicielom władzy, co stale daje się spostrzegać na ulicy i tym podobnie. Zwierzchność szkół i personel nauczycielski nie zadają sobie trudu zwrócenia uwagi odpowiedniej uczniowi; przy wskazywaniu zaś im tego rodzaju faktów usprawiedliwiają je zapomnieniem się, roztrzepaniem lub zmieszaniem. W uznaniu, iż takie zachowanie się uczniów w dobrze postawionych zakładach naukowych nie może być tolerowane, kurator okręgu naukowego zwrócił się do zwierzchników wszystkich zakładów naukowych, z prośbę o pilniejszą uwagę na sprawę wychowania młodzieży, i wymagania od niej stanowczo przestrzegania form dobrego wychowania, nad czem czuwać powinni nietylko inspektorzy i gospodarze klasowi, lecz wogóle wszyscy nauczyciele. Przyzwoitego zachowania się wymagać należy od uczniów nietylko w pewnych wypadkach, lecz wogóle wszędzie i w każdym czasie. Co się zaś tyczy utrzymania porządku w czasie wszelkiego rodzaju uroczystości, to daje się on osiągnąć tylko przy solidarnem działaniu całego personelu pedagogicznego, przyczem dyrektorzy powinni obowiązkowo zawczasu ustanawiać pewien regulamin i dbać o ścisłe jego wykonanie.“

— Zarząd uniwersytetu warszawskiego uwolnił od wpisu całkowitego lub w połowie 234 studentów — pozostało jeszcze 241 zagrożonych wydaleniem.

— W r. b. na praktykę przy robotach kanalizacyjnych przyjęto 10 studentów — trzech z zakładów naukowych w Cesarstwie, resztę z politechniki warszawskiej; pobierać oni będą po 40 rb. przez trzy miesiące letnie.

— Wychowańcom średnich szkół rolniczych przyznano prawo do stopnia nauczyciela szkół początkowych bez oddzielnego egzaminu, po odbyciu jednej lekcyi próbnej. W zasadzie jednak postanowiono, ażeby tego rodzaju kandydaci odbywali dwumiesięczną praktykę, jako pomocnicy nauczycieli.

— *Now. Wr.* donosi, że z początkiem przyszłego roku szkolnego postanowiono otworzyć wyższe kursa żeńskie w Charkowie, na które przyjmowane będą tylko kandydatki ze świadectwami dojrzałości szkół [illegible]

Wiadomości naukowe. Instytut Nobla zawiadamia, że skutkiem obłożenia podatkiem fundacyi, nagrody tegoroczne wynosić będą po 148, 850 koron.

— Tow. antropologiczne i geograficzne w Sztokholmie postanowiło wydać biografię Andrego, który zaginął w wyprawie balonem pod biegun. Ku uczczeniu jego pamięci ma być wybity medal.

— Według sprawozdania za rok 1903, Towarzystwo oświaty ludowej w W. Ks. Poznańskiem utwo-

rzyło 49 nowych bibliotek i rozdało 18,563 książek.

Zdrowie publiczne. W biurze Kolonij letnich rozpoczęto zapisy dzieci, które mają być wysłane na wieś za opłatą. Zgłaszać się mogą tylko dzieci rodziców niezamożnych od lat 8—13.

— Pogotowie ratunkowe w roku ubiegłym wzywane było do niesienia pomocy w 9,838 wypadkach, czyli średnio 27 razy dziennie. Dochód ogólny tej instytucyi wynosił 63,312 rb. 30 kop., rozchód — 63,267 rb. 80 kop. Projekt budżetu na r. b. oblicza wpływy normalne na 28,050 rb., wydatki na 57,920 rb., czyli brakującą sumę 29,870 rb. ma dopełnić ofiarność publiczna.

— W Petersburgu ma powstać Towarzystwo opieki nad dotkniętymi gruźlicą. Oprócz niesienia pomocy lekarskiej i materyalnej zamierza ono urządzać kolonie letnie i zakłady leczniczne dla suchotników, miewać odczyty i wydawać broszury popularne w tym przedmiocie.

— W Chicago, według obliczeń Biura sanitarnego, śmiertelność dzieci zmniejsza się w miarę ściślejszego dozoru nad sprzedażą mleka. Cyfry wykazują, że gdy w r. 1901 zmarło 110,38 dzieci do 5 lat wieku na 10,000 mieszk., w roku zeszłym stosunek ten spadł do 41,7.

— Miliarder amerykański, Carnegie, ofiarował 5 milionów dolarów dla osób, które zasłużą się ratowaniem życia mieszkańców Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Literatura i prasa. We wrześniu r. b. odbędzie się w Wiedniu międzynarodowy kongres prasy.

— W Paryżu zaczął wychodzić dziennik p. t. *L'humanité* (Ludzkość), pod redakcyą Jauresa, przywódcy socyalistów francuskich.

— Druk drugiej części V t. „Poradnika dla Samouków," chwilowo wstrzymany, rozpoczął się na nowo. Książka w handlu księgarskim ukaże się na jesieni. Następnie wyjdzie też wkrótce t. VI, mający zawrzeć historyę i metody nauk. Powtórne wydanie tomu II-go i pierwszej części V-go nastąpi też niebawem.

— Jesteśmy proszeni o wyjaśnienie, że do opracowania broszury p. t. „Czego nie wiemy o naszych synach" posłużyła tylko część materyału zebranego drogą wywiadów przez pewne grono studentów warszawskich. Ta część przypadkowo dostała się do rąk autorki broszury p. I. Moszczeńskiej i przez nią zużytkowaną została. Wkrótce ukaże się całość zebranego materyału.

Ze sztuki. Staraniem warszawskiego Salonu artystycznego w maju r. b. urządzona będzie w Lublinie wystawa obrazów, rzeźb i sztuki stosowanej, z której dochód przeznaczono dla miejscowych instytucyj dobroczynnych.

— Ogłoszony przez Tow. artystyczne konkurs na figury, mające przyozdobić fasadę gmachu Stowarzyszenia techników w Warszawie, przedłużony został do d. 1 czerwca r. b.

Z muzyki. Galicyjskie Tow. muzyczne ogłosiło konkurs na pieśń do słów Mickiewicza, na głos solowy z towarzyszeniem fortepianu, w układzie łatwym. Termin do d. 30 b. m.

Sprawy ekonomiczne. W Kaźmierzy Wielkiej, pow. Pińczowskim, zawiązała się spółka włościańska, do której, oprócz kilku obywateli ziemskich z wkładami 100-rublowymi przystąpiło 31 włościan z 15-rublowymi udziałami.

— Międzynarodowa wystawa przemysłu złotego i platynowego w Petersburgu została odłożona.

— W sierpniu r. b. urządzona będzie w Dubnie gub. Wołyńskiej, wystawa rolnicza.

Poczta. Ministeryum spraw wewnętrzych pozwoliło na wprowadzenie depesz „poste restante," w których adres zastąpiony być może umówionemi literami.

— Zaniechano projektu urządzenia linij telefonowych między Odesą-Kijowem, Petersburgiem-Berlinem i Warszawą-Berlinem.

— Zarząd poczt zawiadamia że w posyłkach do Austro-Węgier, Francyi, Hiszpanii, Włoch i Szwajcaryi, w deklaracyach celnych powinna być wymieniona ogólna waga z opakowaniem, oraz zosobna każdego przedmiotu; jeśli przedmioty są jednego rodzaju i gatunku, powinna być określona waga ogólna.

Zmarł. Miss Frances Power Cobbe, pierwsza dziennikarka w Walii, w 82 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Stanisławowi Rom. Wiersza drukować nie będziemy.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Априля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8